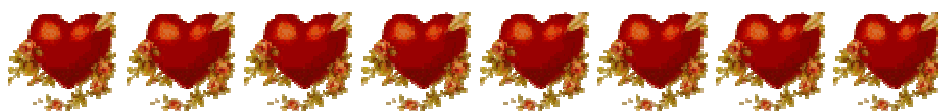




# *Cara Colter*

---



# *Dogonić marzenia*

---

## PROLOG

Uporczywy dźwięk telefonu coraz gwałtowniej przebijał się do jego świadomości. Rick Chase otworzył oczy i spojrzał na zegar stojący na nocnej szafce. Czwarta rano.

Telefon o takiej porze nigdy nie zwiastuje niczego dobrego.

Szykując się na najgorsze, podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Wujek Rick?

Resztki snu rozwiały się ostatecznie. Rick usiadł na łóżku, po omacku sięgnął do lampki, jakby przy jej świetle łatwiej mu było się skoncentrować.

- Bobbi?

- Przepraszam, że cię obudziłam. Chciałam pogadać z tobą, nim pojedę na zajęcia.

Zajęcia o czwartej rano? Nagle go olśniło. Przecież Bobbi, jego chrzestna córka, właśnie rozpoczęła studia w Ontario, więc dzieli ich kilka tysięcy kilometrów i trzy godziny różnicy czasu.

- Jak się miewasz? - zagadnął.

- Dziękuję, dobrze.

W jej głosie dosłyszał leciutkie drżenie. Być może jej życie nie było usłane różami.

- O co chodzi, Bo-Bo? - Użył imienia, jakim zwracano się do niej w dzieciństwie. Tak będzie lepiej, doda jej otuchy. Z drugiej strony to zdrobnienie przywołało obraz roześmianej dziewczynki na

trójkołowym rowerku, warkoczyki fruujące wokół buzi...  
przypomniało czasy, które bezpowrotnie minęły. Kiedy wszystko wydawało się łatwe i proste, kiedy był szczęśliwy.

- Martwię się o mamę - powiedziała cicho łamiącym się głosem.

Poczuł, że coś nieprzyjemnie zaciska mu się na sercu. Sam się dziwił, że jego głos zabrzmiał tak spokojnie.

- A dokładnie? Co jest z Lindą?

- Wiesz, że sprzedała nasz dom?

Linda sprzedała dom?! I nie zrobiła tego przez ich agencję?!  
Jego i jej świętej pamięci męża? Jest współwłaścicielką firmy, a poszła do konkurencji?

- Nie, pierwsze słyszę.

- Sprzedała go i kupiła rozpadającą się chałupę w Bow Water.  
Wysłała mi zdjęcie mejlem - prychnęła jak dawna Bo-Bo.  
Wyluzowana studentka pierwszego roku tak naprawdę niewiele się zmieniła.

Bobbi, wychowana w rezydencji Riverdale w eleganckiej dzielnicy Calgary, przywykła do życia w luksusie. Jej wyobrażenie „chałupy” bardzo odbiegało od potocznego rozumienia, choć Bow Water niekoniecznie kojarzyło się z wyszukanym sąsiedztwem.  
Przeciwnie. Co się stało, że Linda zdecydowała się tam zamieszkać?

- Mama już się tam wyprowadziła - z urazą rzekła Bobbi. -  
Nawet nie zdążyłam pożegnać się z naszym domem i spakować swoich rzeczy. Sprzedała też samochód.

- Sprzedała mercedesa? - Niemożliwe, by Linda miała problemy finansowe. Agencja świetnie prosperowała, firma była w doskonałej kondycji.

- Kupiła sobie nowego mercedesa, choć bardzo byś się dziwił, gdybyś go zobaczył. - Bobbi westchnęła ciężko. - Wujku, mama ścięła włosy. Boję się, że jest z nią naprawdę niedobrze.

Może Bobbi ma rację? Trzydzieści miesięcy temu mąż Lindy zginął tragicznie, teraz jej jedyna córka wyfrunęła z domu. Być może Linda się załamała?

Nie, to mało prawdopodobne. Ona nie należała do takich. Choćby wszystko się waliło i paliło, zawsze była niewzruszona jak skała, o którą rozbijają się spienione fale. Kto jak kto, ale Linda na pewno się nie załame.

- Czego się po mnie spodziewasz, Bobbi?

- Żebyś do niej zajrzał! - zniecierpliwiła się po kobiecemu, jakby to rozumiało się samo przez się.

- No dobrze. Wpadnę do niej przed pracą.

Bobbi ciężko westchnęła. Widać liczyła na coś więcej.

- Zaproponuj jej, by wróciła do pracy, bo zaczyna stronić od ludzi i w końcu naprawdę zdziwaczeje.

W jej głosie słyszał niemy wyrzut. Cóż, poniekąd miała rację.

- Bobbi, próbowałem rozmawiać z twoją mamą, ale ona nie chce. - Tym bardziej nie zechce pracować z nim. Poza tym od dobrych piętnastu lat nie udzielała się w firmie.

- Wujku, przestań! Masz takie gadane, że wtrynisz każdemu nawet maść na szczury, a nie przekonasz mamy, by wreszcie zaczęła żyć na nowo?

- Tak, ale...

- Odsunąłeś się od niej po śmierci taty. Zresztą, jak wszyscy.

- Tak, ale... - Bo sama tego chciała, pomyślał, lecz jak miał to powiedzieć? Znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

- Mama okazała ci tyle serca, gdy rozwodziłeś się z Kathy. To już chyba siedem lat, co? Aż trudno uwierzyć.

- Owszem.

Przypomniał sobie tamte chwile, równie rozrzewniające, jak wspomnienie Bobbi pędzącej na dzieciennym rowerku. Linda trzymająca jego dłonie, żarliwie zapewnijająca, że jeszcze się wszystko ułoży. Może nie od razu, ale kiedyś na pewno...

Przeczenie jej nie zawiodło. Początkowo bardzo cierpiał, czuł się upokorzony, jego życie rozpadło się na kawałki, poniósł klęskę. Dopiero z czasem dotarło do niego coś innego - nagle mógł robić, co chciał, nie oglądając się na nic. Odrodziły się w nim dawne marzenia. Kupił sobie motor i zaczął podróżować. Nie jeździł do szpanerskich ośrodków, które uwielbiała jego była żona, lecz samotnie włóczył się po świecie, poznając odmienne zwyczaje i kultury, z każdym wyjazdem nabierając ochoty na kolejny. Bał się, że nie starczy mu życia, by zobaczyć wszystko, co chciał poznać.

Polubił życie singla. Już raz się sparzył i wołał być ostrożny. Przez tych siedem lat stał się samotnikiem, inni niewiele go

obchodzili. Pewnie dlatego zaniedbał przyjaciela w potrzebie, bo jak inaczej to wytłumaczyć? Wprawdzie znajomość z Lindą była nawet czymś więcej niż przyjaźnią, lecz przez to cały układ stawał się jeszcze bardziej skomplikowany.

- Całe życie mamy kręciło się wokół mnie, ale teraz jestem daleko, bo wyjechałam na studia. Wujku, trzeba jej znaleźć jakieś zajęcie, jakiś cel. Przyrzeknij, że się postarasz. Przecież mogłaby pracować, wymyśl coś.

Nie powinien się zgadzać. Jak mógłby pomóc Lindzie? Jest zdruzgotana, ma złamane serce. A co do obietnic, to już się przekonał, czym mogą się skończyć. I jak potrafią ciążyć. Nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za czyjeś życie.

- Mama powinna być wśród ludzi - mówiła Bobbi z absolutnym przekonaniem. Tylko bardzo młodzi ludzie są tacy pewni swej nieomyślności i święcie wierzą, że pozjadali wszystkie rozumy. - Musi mieć jakieś zajęcie. Mama uwielbia stare domy. Do dziś trzyma zdjęcia posesji, które z tatą wyremontowaliście. Tę jej pasję można przekuć na konstruktywne zajęcie, nim znów coś wystawi na sprzedaż.

- Bobbi, twoja mama nie da się namówić do niczego, na co sama nie będzie miała ochoty - rzekł ostrożnie..

- Przyrzeknij, że spróbujesz.

Może to ta wczesna pora, a może jej błagalny ton sprawiły, że uległ.

- No dobrze. Obiecuję.

- Dziękuję, wujku! - W jej głosie zabrzmiała nadzieja, jakby Bobbi rzeczywiście wierzyła, że on może pomóc.

A już żałował pochopnej obietnicy. Ale cóż, stało się, musi spróbować. Zaproponuje Lindzie pracę, ona odmówi i będzie po sprawie.

Problem w tym, że chodziło o coś więcej. Coś więcej niż to, na co był gotów.

Rozłączył się i w milczeniu wpatrywał się w słuchawkę.

Naraz go tknęło - a jeśli z Lindą naprawdę jest kiepsko? Może potrzebuje kogoś, kto wyciągnie do niej rękę? Sama jest zbyt dumna i zbyt rozżalona, by go o coś prosić.

Ma do niego żal, czuje urazę. W pełni sobie na to zasłużył. Nic dziwnego, że Linda jest na niego zła. Przecież ukrywał przed nią sekrety jej męża.

Jeden z nich nadal ukrywa.

W co on się wpakował? Cóż, musi się z tym zmierzyć. Jedno jest pewne - nie pójdzie do Lindy, póki nie opracuje dokładnego planu.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie liczyła, że go tu zobaczy.

Linda, wyciągnięta płasko w pożółkłej wrześniowej trawie, wycelowała lornetkę na splecione zarośla znajdującego się za sztachetkami ogrodu. Sądząc po odgłosach, w bujnym sitowiu tętniło życie.

Trawa lśniła od szronu, lecz Linda była tak pochłonięta obserwacją, że nie czuła chłodu. Szare światło świtu powoli rozjaśniało ciemność i płynąca w oddali rzeka zaczynała napełniać się srebrzystym blaskiem. Na drugim brzegu centrum Calgary budziło się do życia, światła samochodów jaśniały jak perełki nanizane na sznurek. W spokojnej tafli wody odbijały się wieżowce.

Niemożliwe, by ujrzała go tutaj, niemal w środku miasta. To byłby prawdziwy dar od losu. Coś, co się nie zdarza.

Poczuła chłód ciągnący od ziemi, zadrzała. Uderzył ją kontrast między ożywającym miastem i dochodzącym z oddali zgiełkiem a panującym tutaj niewzruszonym spokojem. Wychodząc, nastawiła ekspres, teraz zapach kawy przez otwarte drzwi niósł się do ogrodu, wabiąc do ciepłego wnętrza niewielkiego domu, w którym przespała dopiero trzy noce.

Podniosła się na kolana, wzdychając cicho, bo nogi jej zdrętwiały, i naraz znieruchomiała. Ujrzała go. Światło podnoszące się znad rzeki wydobywało z mroku jego sylwetkę. Wyłaniał się z niego jak duch. Przyglądała się z zapartym tchem, jakby była świadkiem



prawdziwych czarów. W promieniach wschodzącego słońca białe pióra zaczęły mienić się złotem. Żuraw krzykliwy. Przeczytała o nim wczoraj, gdy tylko pierwszy raz go ujrzała.

To jeden z najrzadziej występujących ptaków w Ameryce Północnej. Rozpiętość jego skrzydeł dochodzi do dwóch i pół metra. Większość ludzi nie ma najmniejszej szansy, by choć raz w życiu go zobaczyć. Skoro jej się udało, powinna to uznać za dobry znak, potwierdzenie, że postąpiła słusznie, kupując ten dom.

Kolana bolały coraz bardziej. Linda uniosła się delikatnie, lecz nawet ten niemal niedostrzegalny ruch nie uszedł uwadze ptaka. Odwrócił się błyskawicznie w jej stronę i czerwona plama na czubku jego głowy wypełniła niemal cały obiektyw. Żółte oko wpatrywało się w nią zuchwale. Po chwili ptak wydał odgłos przypominający dźwięk trąbki i rozpostarł skrzydła, ukazując widoczne od spodu czarne lotki.

Uniosł potężne skrzydła i z gracją wzbił się w górę, ku błękitniącemu niebu. Patrzyła za nim, aż zapiekły ją oczy. W uszach wciąż miała świst skrzydeł. Przyglądała się, jak znika w przestworzach, biorąc kurs na Gwiazdę Poranną.

Czemu przypisuje mu takie znaczenie? Zawsze uważała siebie za bardzo pragmatyczną osobę. Ale czy rozsądna kobieta kupiłaby ten rozpadający się dom?

Wpatrywała się w niebo, choć po żurawiu została tylko ciemna plamka. I nagle uzmysłowiła sobie, że zdarzył się cud.

Bo poczuła się szczęśliwa. Stało się to niezauważalnie, tak jak światło dnia stopniowo rozprasza ciemność.

Wsluchiwała się w siebie, w swoje emocje. Trzydzieści miesięcy temu przeżyła tragedię, jej świat legł w gruzach. Dobrze pamiętała tamten dzień. Była przekonana, że już nigdy się nie podniesie i nigdy nie zazna radości.

Ani nadziei.

Dziwne, ale widok rzadkiego ptaka tak nią poruszył i obudził w niej wiarę, że jeszcze nie wszystko stracone, życie jeszcze ma dla niej coś w zanadrzu, a ona będzie w stanie cieszyć się z drobnych rzeczy, choćby z dotyku mokrej trawy. Czuć, że żyje.

Ledwie zastanowiła się nad tą refleksją, gdy nagle włosy stanęły jej dęba. Bo z przerażającą pewnością poczuła, że ktoś wszedł do ogrodu, jeszcze nim usłyszała ciche chrząknięcie. No pięknie, ma nauczkę, by nie uciekać w rojenia o szczęściu, nie rzucać chełpliwego wyzwania losowi czy bogom.

To na pewno morderca. Nie darmo Bobbi przestrzegała ją przed zamieszkaniem w tej okolicy, tuż przy ptasim rezerwacie. Córka straszyla ją, że w nocy ktoś się zakradnie i ją ukatrupi, jakby rzeczywiście była to podejrzana dzielnica. Choć niektórzy mieszkańcy budzili mieszane uczucia.

Z bijącym sercem podniosła się z kolan. Nie mogła sobie darować, że wyszła na dwór w piżamie, w dodatku takiej! Z różowej flanelki drukowanej w postaci z kreskówek. Odwróciła się i zamarła.

Już by chyba wołała mieć do czynienia z mordercą. Zmieszała się, bo przemoczona piżama przyłgnęła do jej ciała.

Linda skrzyżowała ramiona, osłaniając biust. To reakcja na zimno, nie na niego, powtarzała w duchu.

Dlaczego musiał przyłapać ją w takim stroju?

Kupiła tę piżamę, bo chciała wszystko zmienić w swym życiu, poczuć się wolna, wyzwolona z kajdan. Wtedy tak było, lecz teraz wydała się sobie śmieszna i bezradna.

- Rick. - Chciała, by zabrzmiało to ozięble, i chyba się jej udało, bo wzdrygnął się lekko. Dziwne, ale nie poczuła satysfakcji.

Wysoki, świetnie zbudowany i bardzo męski. Doskonale skrojony garnitur, zapewne od Armaniego, podkreślał zgrabną sylwetkę. Wygląda rewelacyjnie, podsumowała w duchu. Mężczyzna w sile wieku. Szlachetne rysy, malutki dołeczek na brodzie, zielone oczy kojarzące się z taflą spokojnie płynącej wody. Sądząc po stroju, Rick wybierał się do pracy. Miał na sobie grafitowy garnitur, białą koszulę, jedwabny krawat.

Takiemu mężczyźnie żadna kobieta nie chce pokazać się bez makijażu, starannej fryzury i rzucającej się w oczy sukienki. A jeszcze przed chwilą była szczęśliwa, że od miesiąca się nie malowała. I była dumna z tej nowej Lindy.

Jak kruche jest takie szczęście! Facet nawet nie musi kiwnąć palcem, by rozwiało się w mgnieniu oka.

Rick naprawdę robił wrażenie. Te włosy w odcieniu głębokiego brązu, jeszcze nieco wilgotne po porannej kąpieli. Aż ją korciło, by przygładzić niesforny kogucik sterczący na czubku głowy. Ze zdumieniem spostrzegła srebrne nitki w jego gęstej czuprynie.

Jak to możliwe, że nie ożenił się ponownie i wciąż jest sam? Od jego rozwodu minęło dobrych siedem lat.

Dziwne, ale już zapomniała, że Rick jest taki przystojny. A może nie chciała o tym pamiętać, nie chciała o nim myśleć, nie chciała komplikować sobie życia? Przez trzynaście miesięcy nagrywał się jej wiele razy, lecz nie chciała się z nim kontaktować. Może podświadomie czuła, że to tylko przysporzy jej bólu. Że poczuje się jeszcze bardziej samotna i żałosna.

Została zdradzona przez męża, którego pochowała trzynaście miesięcy temu, i przez stojącego przed nią mężczyznę, przyjaciela i współnika Blaira, człowieka, który ukrył przed nią...

Opamiętała się. Wracanie do przeszłości nic jej nie da.

- Lindo.

Stali nieruchomo, wpatrując się w siebie. Na dworze robiło się coraz jaśniej. Zza rzeki dobiegł dźwięk klaksonu i pisk opon.

Miała wrażenie, że czas stanął w miejscu.

- Wyglądasz na zmarzniętą - zagaił Rick. Powstrzymała pokusę, by spojrzeć po sobie.

- Co ty tu robisz? - zapytała niezbyt uprzejmie.

- Dzwoniłem rano do ciebie. Nie odbierałaś, więc postanowiłem wpaść.

Tak jakby mu było po drodze. Dobrze wiedziała, że nie było. Adresu mu też nie dawała. Już przejechała się na swej naiwności i teraz była wyczulona na najmniejszy fałsz.

- Co się stało, że tak nagle się o mnie zaniepokoiłeś?

Gdy oczy błysnęły mu groźnie, Linda poczuła ciarki na plecach. Znała go od dwudziestu lat, ale czy choć raz widziała go rozgniewanego? Nagle zaczynała dostrzegać w nim cechy, których wcześniej nie zauważała. Nie powinno jej to tak zajmować, ta ciekawość to tylko oznaka słabości...

- Nie mów, że wcześniej się o ciebie nie martwiłem - odparł stanowczo. - To ty nie odbierałaś moich telefonów ani nie oddzwaniałaś. Uszanowałem to, co wcale nie znaczy, że przestałem o tobie myśleć.

- Cóż, dziękuję. A teraz zakłóciłeś mój spokój, bo...? - zawiesiła głos.

Popatrzył na nią ostro, przeciągnął palcami po wilgotnych włosach. Kogucik na czubku znowu się nastroszył. Przez chwilę myślała, że Rick podejdzie i nią potrząśnie, lecz opanował złość i odezwał się spokojnie:

- Potrzebuję twojej pomocy w pewnej sprawie. Na przykład w uczesaniu włosów, pomyślała.

- O świcie nachodzisz w ogrodzie kobietę ubraną w pizamę, by prosić o pomoc?

Nie przejął się jej uszczypliwością, przeciwnie, uśmiechnął się. Od razu pożałowała, że to zrobił, bo stał się jeszcze bardziej pociągający. Ten szeroki, niesamowicie seksowny uśmiech mógł stać się pomostem nad dzielącą ich przepaścią.

- Zaryzykuję. Nigdy nie wiadomo, czy nie przyda mi się ktoś, kto umie posługiwać się lornetką.

- Mhm... - Popatrzyła na lornetkę.

- Co tu robiłaś? Podglądałaś sąsiadów?

- Można to tak ująć. - Korciło ją, by wyjaśnić dokładniej, lecz powstrzymała tę chęć. Nie jest dawną Lindą, przed nikim nie będzie się tłumaczyć. Może robić wszystko, co dusza zapagnie, i nikomu nic do tego.

- Zziębłaś - powiedział miękko.

Litował się nad nią? Nowa Linda nie życzyła sobie, by ktoś się nad nią użalał. Przeciwnie, powinna poczuć się urażona. Jednak jego troska ujęła ją, trafiła wczuły punkt. W tę część, która w środku nocy, gdy nie ma dokąd uciec, pragnie kogoś bliskiego, kogoś, na kim można się wesprzeć.

- Mam zaparzoną kawę - powiedziała chłodno. - Może wejdiesz i powiesz, z czym przychodzisz.

Cokolwiek by to było, i tak mu odmówi.

Odmówi, bo Rick należy do świata, który na zawsze zostawiła za sobą. Również dlatego, że jej niezależność była tylko pozorna, po prostu wmawiała ją sobie. W jego oczach pewnie jest zagubiona i żalosna.

Odmówi, by się do tego wprawiać. I za te sytuacje, kiedy się zgadzała, choć zawsze robiła to wbrew sobie.

Podążał za nią, rozważając w duchu kolejny ruch. Bobbi chyba nie miała pojęcia, do czego go angażuje. Sądząc po wojowniczej

minie i dumnej postawie Lindy, po ogniu w jej oczach, na pewno mu odmówi, niezależnie, o co by prosił.

Właściwie to dobrze, ułatwi mu to życie. Uczyni gest w jej stronę, ona go odrzuci i on będzie w porządku. Bobbi nie będzie mogła mieć do niego pretensji.

Jeszcze nie otrząsnął się z zaskoczenia, w jakie wprowadził go widok Lindy. Wydawała się odmieniona w tej różowej piżamie, drżąca z zimna, z krótszymi włosami, jaśniejszymi i potarganymi, okalającymi jej delikatną twarz.

Ostatni raz, kiedy ją widział, jej włosy były kruczoczarne i starannie upięte na karku. Wyglądała na osobę chłodną, elegancką i nieprzejednaną.

- Wiedziałeś? - zapytała go.

Nie odpowiedział. Odebrała to jednoznacznie.

Miał wyrzuty sumienia, bo trzymał z jej mężem. Jeden jego sekret nadal przed nią ukrywał. To dlatego po śmierci Blaira trzymał się na dystans. Owszem, dzwonił, zostawiał wiadomości, lecz gdy Linda nie oddzwaniała, nie szukał kontaktu. Przeciwnie, oddychał z ulgą.

Przez ten rok naprawdę się zmieniła. Nie tylko zewnętrźnie. Zawsze sprawiała wrażenie kruchej, teraz stała się silna. Wcześniej daleka i powściągliwa, teraz wydawała się osobą zaangażowaną i pełną pasji.

Kim jest ta nowa Linda?

Przypomniał sobie rozmowę z Bobbi. Miała wyrzuty sumienia, że wyjechała z domu, by studiować. Sam w skrytości ducha też tego żałował, bo wtedy nie musiałby zajmować się Lindą. Zwłaszcza że, co teraz było dla niego oczywiste, wcale nie potrzebowała pomocy. I lepiej nawet jej o tym nie wspominać.

W nocy naprawdę się przejął, że jest z nią niedobrze. Teraz w świetle poranka widział, że się mylił.

Policzył w duchu. Linda ma trzydzieści osiem lat.

Na pogrzebie wyglądała na dziesięć lat więcej. Teraz wydaje się dziesięć lat młodsza. Pewna siebie, zuchwała i wściekła, że przyłapał ją w takim stroju. Naprawdę fascynująca i piękna. Musi uważać, bo może niebezpiecznie zagrozić murom, jakimi odgradził się od świata.

Swoją misję niemal już doprowadził do końca. Przedstawi Lindzie propozycję, ona ją odrzuci i będzie po wszystkim. Zrelacjonuje Bobbi swoje dokonania, zapewni, że jej mama jest w dobrej formie. Oczywiście, o swoich odczuciach nawet nie wspomni.

Musi się tylko upewnić, czy z Lindą naprawdę wszystko jest w porządku.

Weszła do domu, zostawiając na oszronionej trawie ślady bosych stóp. Wszedł za nią do kuchni.

Rozejrzał się po wnętrzu. Nie powinien być aż taki ciekawy, jednak chciał przekonać się na własne oczy, czy jej zachowanie to nie pozory, czy ona nie udaje. Może rzeczywiście jest w depresji, może się załamała?



Z zewnątrz dom nie robił dobrego wrażenia, nic więc dziwnego, że Bobbi była taka sceptyczna. Z drugiej strony ta lokalizacja miała dużo plusów. Bardzo blisko centrum, wiele domów zostało starannie odremontowanych i teraz kosztowały majątek. Znał się na wycenie nieruchomości. Dom Lindy był niewielki, zarośnięty dzikim winem i w niczym nie przypominał luksusowej rezydencji, którą właśnie sprzedawała.

Wewnątrz pachniało kawą i korzennymi przyprawami. Dom wymagał wiele pracy, lecz miał swój klimat, przyjazny charakter wiejskiego domku. Pasował do tej nowej Lindy z krótkimi potarganymi włosami, ubranej w zabawną flanelową piżamę."

Wskazała mu krzesło, naląła kawy i postawiła przed nim kubek. Wyszła, zostawiając go w kuchni. Skorzystał z okazji, by dokładniej zlustrować wnętrze, szukając śladów niepoczytalności właścicielki. Robił to dla Bobbi? Raczej nie.

Było oczywiste, że Linda dopiero co się tu wprowadziła. Również ustawione kartony czekały na rozpakowanie. Będzie miała sporo pracy. Zniszczone linoleum na podłodze, szafki i zlewozmywak do wymiany. Pewnie cały dom jest w podobnym stanie, jednak miał w sobie potencjał. Spod linoleum przeświecał oryginalny parkiet, pod oknami były szerokie parapety, wysoki sufit był ozdobiony piękną drewnianą sztukaterią pokrytą złocistą patyną.

Linda wróciła po chwili. Na piżamę włożyła szarą bawełnianą bluzę. Kobiety zwykle bardziej się dla niego starały, jednak z jakiegoś

powodu to mu pasowało. Gdzieś tam w głębi duszy nadal byli starymi, zżytymi przyjaciółmi.

W tej luźnej bluzie Linda wydawała się drobniejsza i bezbronna, mimowolnie budziła w nim instynkty opiekuńcze. Nie zamierzał się temu poddawać. Musiał uważać. Wciąż pamiętał jej oczy, gdy powiedział, że ma problem. Przez chwilę jaśniała w nich ufność.

Linda naląła sobie kawy, oparła się o blat, przyglądała się Rickowi znad filiżanki. Jej brązowe oczy przypominały kolor rozpuszczonej czekolady. Straciły dawną miękkość, miały w sobie cień smutku, żalu, dojrzałości. Ale to tylko dodawało im głębi, jak cień kładziony na płótnie.

Włosy o dwa tony jaśniejsze niż oczy. To był dla niego szok. Czyli dawna czerń była tylko maską, dopiero teraz widzi prawdziwą Lindę.

- No dobrze, mów - rzekła. - Wiem, co sobie myślisz.

Zawsze miała intuicję. Popatrzył na jej niesamowicie zmysłowe, pełne, lekko wilgotne usta. Jak smakują? Oby tylko nie domyśliła się, co też mu chodzi po głowie!

- Cóż - zaczął ostrożnie. - Otoczenie jest raczej marne. - Gdy skłoniła głowę, jakby z zainteresowaniem przysłuchiwała się jego ocenie, mówił dalej: - Dom wymaga bardzo wiele pracy. Sprzedałaś Riverdale, żeby kupić coś takiego?

Upiła łyk kawy, jakby rozważała w duchu, czy odpowiedzieć, czy nie.

- W tamtym domu nigdy nie czułam się jak u siebie. Był taki, jak Blair: wszystko dla szpanu, wszystko na pokaz. Nigdy go nie lubiłam, a po remoncie ostatecznie znienawidziłam. Ta szklana ściana na dziesięć metrów! Poza tym to nie był dom dla samotnej kobiety.

Jemu też nie podobało się Riverdale po remoncie. Rezydencja straciła dawny urok, stała się pretensjonalna. Zawsze mu się zdawało, że Linda i Blair nie pasowali do siebie, mieli odmienne podejście do wielu rzeczy. Teraz tamte domysły się potwierdziły. Blair zawsze miał wygórowane ambicje, po trupach dążył do sukcesu, najważniejsze były dla niego pieniądze.

Nigdy nie wgłębiał się w istniejące między nimi różnice, lecz zawsze wiedział, że Linda była za dobra dla jego kumpla. Nie chciał teraz się nad tym zastanawiać, nie przy niej, nie w jej domu.

- Doskonała kawa - zaczął z innej beczki, by przerwać przeciągającą się ciszę. - Co to za gatunek?

- Specjalna mieszanka, sama ją dobrałam. - Patrzyła na niego wyczekująco. Chciała usłyszeć, po co tu przyjechał. Tak jak Bobbi, potrafiła być uparta.

- Czemu nie sprzedałaś domu przez naszą agencję? To również twoja firma. W połowie należy do ciebie.

- Bo nie chcę dostarczać kolejnych tematów do plotek. Nie chcę, by przy porannej kawie roztrząsano moje życie.

Chciał zaproponować, lecz miała rację. Po śmierci Blaira w firmie aż huczało od plotek. Na widok Lindy, która rzadko pojawiała się w

agencji, rozmowy cichły, lecz ukradkowe współczujące spojrzenia były aż nadto wymowne.

Nie miał pojęcia, jakim cudem zdołała zachować godność i spokój podczas pogrzebu. Sam czuł się winny, bo krył Blaira. Wiedział, że nie zasługuje na wybaczenie.

Powinien jak najszybciej zrobić swoje i zniknąć, jednak chciałby dowiedzieć się czegoś więcej o tej nowej Lindzie.

- Wspomniałeś, że masz jakiś problem - zagaiła wyjątkowo uprzejmie.

Próbował się skoncentrować, lecz nie mógł oderwać myśli od jej brązowych oczu. Na szczęście przygotował się do tego spotkania.

Nie mógł wprost zaproponować jej pracy, to byłoby nie-  
stosowne. Linda jest współwłaścicielką. Miałaby zostać jego  
zastępcą?

- Chodzi o dom. - W jej oczach błysnęło zainteresowanie, co  
dodało mu skrzydeł. Wyglądało na to, że obrał właściwą taktykę.  
Linda uwielbia stare domy. Wystarczy spojrzeć na ten, w którym się  
znajdują. - To edwardiański dom z 1912 roku. W Mount Royal.

- Och...

- To po prostu koszmar. - Pokrótce opisał jej szkody poczynione  
przez wcześniejsze modernizacje, uzalił się na córkę dawnych  
właścicieli, która sprzeciwiała się wszelkim zmianom. - Ma  
siedemdziesiąt lat i rzuca się przed buldożer, gdy chcemy usunąć  
dobudowaną werandę. Co chwila przynosi kolejne petycje podpisane

przez sąsiadów. Już dwóch kierowników budowy zrezygnowało z pracy.

Nie spodziewał się, że poczuje taką ulgę, gdy się wygada. Jakby kamień spadł mu z serca.

- Czego chcesz ode mnie?

- Żebyś przejęła stery i pokierowała tym remontem.

- Nie mogę tego zrobić.

- Wyciągnij mnie z tego. Popełniłem błąd. Zakochałem się w tym domu od pierwszego wejrzenia i od razu go kupiłem, a to najgorsza rzecz, jaką mogłem zrobić.

Kierowanie się uczuciem nigdy nie popłaca, dlatego musi być taki ostrożny z Lindą. Bo choć jest z nią ledwie kilka minut, już zaczyna odczuwać coś, czego nie powinien.

Odwróciła się, włożyła kubek do zlewozmywaka.

Wiedział, że obudził w niej wspomnienia. Ich ścieżki splatały się i rozchodziły, tyle ich łączyło.

Też wrócił pamięcią do tych pierwszych lat, gdy dopiero stawiali pierwsze kroki w zawodzie. Byli młodzi, pełni entuzjazmu. Kupowali rudery, doprowadzali je do dobrego stanu, w pośpiechu malowali ściany i rozstawiali kwiaty, a potem ściskali kciuki, gdy zjawiali się potencjalni nabywcy.

Odwróciła się do niego, uśmiechnęła blado. W jej oczach malowała się tęsknota. Za tym, co niegdyś było? Za radosnym podnieceniem, gdy pierwsze sprzedaże dochodziły do skutku? Za tamtymi młodymi latami?

Bobbi prosiła, by pomógł Lindzie, wręcz go błagała. Linda kocha stare domy może nawet bardziej niż on. Z egoistycznych powodów wolałby się wycofać, nie stykać się z nią na co dzień, jednak nie mógł odmówić pomocy tylko dlatego, by samemu się nie narażać. To nie w jego stylu.

- Wejdiesz w to? - zapytał. - Przynajmniej obejrzyj ten dom. Zainwestowałem w niego środki z funduszu na studia twojej córki.

- Chyba nie powinnam. Spodziewał się kategorycznej odmowy.

- Połowa firmy nadal należy do ciebie - przypomniał.

- Nie, naprawdę. - Wskazała nierozpakowane kartony. - Mam mnóstwo pracy. Naprawdę.

Dwa razy powiedziała „naprawdę”. To wystarczyło, by wiedział, czego naprawdę chce.

- Zgódź się - rzekł miękko. - Chodźmy razem pogadać z tą kobietą. Obejrzyj dom. Zobaczysz, czy to cię zainteresuje. - Wiedział, że jeśli Linda ujrzy ten dom, to o nic więcej nie będzie musiał się martwić.

- Nie jestem ci potrzebna.

Nie tylko ona miała intuicję, on również. Bo w tych słowach usłyszał więcej, niż powiedziała. Tęsknotę za tym, by być komuś potrzebną, poczucie pustki i osamotnienia.

Bobbi miała rację. Zostawił Lindę samą, kiedy najbardziej potrzebowała przyjaznej dłoni. Poczul wyrzuty sumienia.

- Nie, nie jesteś. - Żartobliwie uniósł brwi. - Ale chcę ciebie.

Roześmiała się, jak się spodziewał. Co było i dobre, i złe. Bo do tego jej śmiechu człowiek może się bardzo łatwo przywiązać. I ten śmiech może go zwieść na manowce.

Podniosła rękę.

- Okay. - Ta odpowiedź chyba ją samą zaskoczyła, zaszokowała i przestraszyła prawie tak bardzo, jak zaszokowała, zaskoczyła i przestraszyła jego.

## *ROZDZIAŁ DRUGI*

- Muszę się przebrać. - Spojrzała po sobie zarumieniona i stropiona. Ależ wygląda w tej piżamie! Co ją podkusiło, by włożyć jeszcze tę bluzę! Chyba lepiej nie mogła trafić, by wyglądać na abnegatkę.

To dlatego, że działała pod wpływem szoku. I nadal była w szoku. Dlatego się zgodziła pojechać z nim obejrzeć ten dom. Zupełnie bez sensu.

Teraz też nie mogła się skupić i rozsądnie pomyśleć.

Co jest, że tak się zachowuje? Obecność Ricka dziwnie na nią działa. Jest taki przystojny i męski, że na sam jego widok czuje słabość w dołku. Rick zdaje się wypełniać jej niewielką kuchnię. Zna go od dwudziestu lat i nigdy wcześniej tak nie reagowała.

Bo też nigdy wcześniej nie była sama i do wzięcia.

Ciekawe, czy on też jest wolny. Mało prawdopodobne. Na pewno już jakaś ślicznotka się wokół niego zakręciła. Rick nie ożenił

się ponownie, ale to wcale nie znaczy, że nie jest z kimś związany. Przez tych dwadzieścia lat czasy się zmieniły. Kiedyś nie było dla niej innego wyjścia jak małżeństwo, lecz teraz ludzie żyją inaczej. Wprawdzie intuicyjnie czuła, że Rick jest sam, jednak na własnej skórze doświadczyła, jak mylne mogą być przeczucia. I że nie można na nich niczego budować.

Bobbi utrzymywała z nim kontakt, ale nic na ten temat nie wspominała. Może uważała, że takie zgredy już dawno mają za sobą miłosne uniesienia, a może jej to nie obchodziło? Teraz pożałowała, że nie oddzwaniała do ludzi z agencji. Mogłaby się wiele dowiedzieć.

- Rick, czy ty... - Urwała, widząc jego pytającą minę. Przecież to nie jej sprawa!

- Czy ja co?

Wiedziała, że nie powinna zadawać tego pytania, a już zwłaszcza nie teraz, stojąc przed nim w tej idiotycznej piżamie, z włosami sterczącymi we wszystkie strony, bez śladu makijażu.

- Czy ty... czy kogoś masz? - Stało się, jednak nie zdołała się opanować i zapytała. To dlatego trzymała się z dala od ludzi, bo nie mogła sama sobie ufać. Wiadomo, jak Rick odczyta to pytanie.

- Nie.

Policzki jej płonęły. Odwróciła się i wyszła pośpiesznie, by zaszyć się w sypialni. Zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie, oddychając głęboko, by się uspokoić. Bobbi często dawała do zrozumienia, że martwi się o nią, dyskretnie sugerowała, że dzieje się



z nią coś niedobrego. Może naprawdę zaczyna wariować? Bo czemu tak zareagowała na Ricka?

Za mało wychodzę z domu, podsumowała w duchu.

Dlatego pojedzie z nim, obejrzy ten dom. Uspokoi się, wróci do normalnego stanu. Oczywiście, nie przyjmie propozycji Ricka, niezależnie od tego, jak bardzo chciałyby zająć się tym remontem. Jak zwykle zadzwoni do Bobbi, a potem rozejrzy się, czy w okolicy działają jakieś koła zainteresowań. Na przykład klub ornitologów. To by jej pasowało. Może też przyszedł czas, by pomyśleć o jakiejś pracy, choć akurat o pieniądze nie musiała się martwić.

Rano czuła się już całkiem zadowolona z życia. Nowy dom, żuraw oglądany o świcie... Teraz jednak uświadomiła sobie, że potrzebuje czegoś więcej, by zachować się z dystansem, gdy znów znajdzie się w pobliżu przystojnego i wolnego mężczyzny.

Na razie musi zatrzeć wrażenie, jakie z pewnością wywarła na nim tym strojem. Nie chciała, by Rick uważał ją za żalostną ekscentryczkę, której przestało na czymkolwiek zależeć.

Otworzyła szafę. Była prawie pusta, bo większości rzeczy Linda jeszcze nie rozpakowała. Przez ostatnie tygodnie nie przejmowała się wyglądem. Upajała się świadomością, że wreszcie jej życie należy tylko do niej, że nie musi liczyć się z niczym zdaniem. Ani ze zdaniem córki, krzywiącej się na niektóre stroje, ani ze zdaniem męża, któremu daremnie starała się przypodobać.

Nosiła więc dzinsy i dresy, nie przejmując się zestawianiem kolorów. Do czerwonych spodni zakładała pomarańczowy T-shirt, do flanelowej piżamy - wełniane skarpetki.

Teraz znowu stanęła przed trudnym wyborem. Może kremowe spodnie i jedwabna bluzka w odcieniu fioletu? Tak niewiele rzeczy ma rozpakowanych. Prawie nic. Założyć kolczyki? Umalować się? Co zrobić z tymi niesfornymi włosami, które w żaden sposób nie dają się ułożyć?

Opamiętała się. Co ja wyrabiam? Dość tego.

- Rick? - zawołała, uchylając drzwi.

- Tak?

- Nie mogę z tobą pojechać. Nie przejmuj się mną. Dzięki, że wpadłeś. - Odetchnęła z ulgą, opadła na łóżko i nasłuchiwała, kiedy zaskrzypią frontowe drzwi. Musi je naoliwić...

Rozległo się ciche pukanie.

Zastygła.

Drzwi uchyliły się szerzej. Rick oparł się o framugę, wetknął kciuk w szlufkę spodni. Długie mocne nogi, szerokie bary. Poczowała ucisk w sercu. Tak brakowało jej tego, co kojarzyło się z mężczyzną: mocnych dłoni, szorstkich od zarostu policzków, poczucia siły, głębokiego głosu.

Zapragnęła, by podszedł bliżej, pchnął ją na łóżko, odszukał jej usta... i właśnie dlatego nie może z nim pojechać.

Teraz, gdy trochę się pozbierała, zaczyna na nowo mierzyć się z życiem. Rick bardzo by jej w tym wszystkim namieszał. Popatrzyła na jego usta...

Strasznie by namieszał.

- Dlaczego nie możesz?

Oderwała oczy od jego ust, podniosła się. Sięgnęła po pierwszy z brzegu karton i zaczęła pośpiesznie go rozpakowywać.

- Czego nie mogę?

- Pojechać ze mną do tego domu. Ach, no tak.

O nie! To karton z bielizną! Zmysłowe koronki, jakich już nie nosi. Szybko zaczęła upychać je z powrotem.

- Muszę rozpakować rzeczy i naoliwić drzwi. Chciałabym też upiec ciasteczka, żeby poczuć się jak w domu.

Plotła trzy po trzy. Odwróciła się i popatrzyła na niego zadziornie. Nie powinien tak sobie tutaj stać. Nie powinien wystawiać jej na pokuszenie, inspirować do takich myśli, i z takim zainteresowaniem wpatrywać się w jej najbardziej osobiste fatałaszki.

Rick uśmiechał się lekko.

- Idź już - powiedziała. - Jestem zajęta.

- Jeśli pojedziesz ze mną zobaczyć dom, to potem pomogę ci przy rozpakowywaniu.

Też coś. Wcale nie chciała, żeby jej pomagał. Jego obecność rozprasza ją i wprawia w zakłopotanie, podsuwa niepotrzebne myśli.

- Może niekoniecznie przy tym kartonie - dodał, uśmiechając się szerzej.

Cóż, przydałby się jej ktoś do pomocy, zwłaszcza przy ciężkich meblach. Zresztą, w ogóle byłoby miło mieć kogoś do pomocy. Kropka. Ale może sobie kogoś wynająć! A jeśli tak potrzebuje widoku mężczyzny, może zamówić muskularnego młodzieńca, by sobie na niego popatrzeć. Nic ponadto. Już widzi minę Bobbi, gdyby się o tym dowiedziała!

Dlaczego teraz wydaje się sobie bardziej żałosna niż przez cały ten czas, odkąd spadła na nią ta koszmarna prawda o mężu?

- Nie, naprawdę, ja...

- Pomogę ci też upiec ciasteczka. Odwróciła się, oparła ręce na biodrach.

- Przecież nie masz o tym zielonego pojęcia!

- To ty nie wiesz, co naprawdę potrafię.

Teraz on przesunął wzrok na jej usta. I nagle w jego oczach dostrzegła coś jeszcze. Tęsknotę. Ale czemu się dziwić? Jest sam jeszcze dłużej niż ona.

Ale on może mieć każdą, której zapagnie. Była tego pewna.

Nagle poczuła się słaba. Najchętniej padłaby mu w ramiona, sycąc się jego bliskością, czerpiąc z niej siły. W tym jednak cały problem. Nie może czuć się słaba, nie może pokazywać po sobie słabości. A tak będzie, jeśli teraz wycofa się i nie obejrzy tego domu, choć wcześniej się zgodziła.

- Kuchnia nie była twoją mocną stroną - przypomniał jej, odrywając wzrok od jej ust. - Założę się, że dodasz do ciastek olej do smarowania drzwi.

To były dawne dzieje. Jej pierwsze kulinarne wyczyny rzeczywiście były katastrofą. Dopiero zaczynała karierę jako młoda mężatka i matka. Zapała się jednak i z czasem doszła do perfekcji. Bobbi nie musiała się wstydzić jej ciasteczek na klasowe walentynki czy ciast na szkolny kiermasz. Nauczyła się robić lasagne, piec kurczaki i wołowinę. Raz samodzielnie przygotowała poczęstunek dla całej drużyny zuchów, czyli czterdziestu dwóch dziewczynek.

Tylko że Rick nic o tym nie wiedział. Blair lekceważył jej kulinarne talenty i od razu, gdy tylko było go na to stać, zatrudnił profesjonalnego kucharza. Od tamtej pory na ich stole gościły eleganckie dania o wyszukanych nazwach, które Linda często zjadała samotnie. Na samo wspomnienie tamtych czasów poczuła lodowatą furję. Jedno wspomnienie, a psuje cały dzień!

Pośpiesznie wróciła do terażniejszości.

Wszystko się zmieniło. Zamiast wykwintnych potraw przyrządza sobie grzanekę z masłem orzechowym, do tego ćwiartki pomidora. I właśnie tak jej pasuje. Nagle uzmysłowiła sobie, że wyjście z Rickiem będzie odskocznią od takich wspomnień i rozpaczliwie uchwyciła się tej możliwości.

- No dobrze - powiedziała. - Za kilka minut będę gotowa.

Zasalutował i zamknął za sobą drzwi.

Usiadła na łóżku. Prawda uderzyła ją jak obuchem. W gruncie rzeczy w jakimś stopniu cieszy się, że jej życie potoczyło się właśnie tak. Przeżyła dramat, lecz teraz zaczyna odczuwać to wszystko, o czym już dawno zapomniała. Choć była pełna obaw, jednak zaczynała

czuć, że żyje. Tego ranka przepeliło ją uniesienie na widok wzbijającego się w niebo żurawia.

Choć wciąż musiała pamiętać, by nie popadać w nadmierną pewność siebie. Nie wolno rzucać wyzwania losowi.

Kwadrans później była gotowa. Zdecydowała się na kremowe spodnie i fioletową bluzkę. Nie znalazła pudła z kosmetykami, więc się nie umalowała. Niesfornych włosów nie dało się opanować, nadal sterczały we wszystkie strony.

Rick z zainteresowaniem oglądał jej samochód.

- Super - powiedział z uśmiechem.

Mimowolnie przeciągnęła ręką po włosach. Nie chciała żadnego „super”. Zależało jej, by wyglądać atrakcyjnie, ale nie tak, by go zainteresować.

Nagle ją olśniło. Nie mówił o niej, lecz o samochodzie.

Ten malutki smart był symbolem zmian, jakie chciała przeprowadzić w swoim życiu.

- Bobbi się z niego wyśmiewa - powiedziała, pieszczotliwie klepiąc autko. - Nie może pojąć, że wielkiego mercedesa zamieniłam na coś takiego.

Dla niej to był krok w dobrym kierunku, powrót do osoby, jaką niegdyś była: otwartą na innych, szczerą, pełną pasji i gorących uczuć. Nie cierpiała życia na pokaz, bezsensownego zbytku i marnotrawstwa. Miała wszystko, co mogła sobie wymarzyć: rozległą posiadłość nad rzeką, służbę, luksusowe samochody, kosztowności. I to wszystko,

niczym Wampir, wyssało z niej życiową energię. Pragnęła prostoty, powrotu do samej siebie, takiej, jaką naprawdę była.

Czy ten postawny mężczyzna oglądający jej samochód skomplikuje tę drogę? Ich spojrzenia się spotkały. A może on wie, jak tam dotrzeć?

- Dobrze ci się nim jeździ? - zapytał, otwierając przed nią drzwi swojego potężnego cadillaca.

- Tak. Uwielbiam go.

- To świetnie.

- A tobie jak jeździ się tym? Lubisz go? - zapytała, gdy usiadł za kierownicą. Samochód pachniał skórą, świeżością i Rickiem.

Wzruszył ramionami, włączył silnik, zapiał pas.

- Nie oceniam go w taki sposób. Służy mi przede wszystkim do pracy, wożę nim klientów na oglądanie nieruchomości. Zależy mi, by ze względu na nich był bezpieczny, niezawodny i maksymalnie wygodny.

Zastanowiła się nad tym stwierdzeniem. Blair miał zupełnie inne podejście. Dla niego liczył się wygląd i wywarcie odpowiedniego wrażenia na innych. Nie obchodził go komfort czy bezpieczeństwo klientów.

Chyba nie powinna porównywać Ricka i Blaira.

- Wiesz, jaki jestem, Lindo...

Czy naprawdę wiedziała? Być może tylko się jej tak wydaje, może wcale go nie zna. Przypomniała sobie dni tuż po śmierci Blaira,

gdy prawda powoli zaczęła wychodzić na jaw... Miała wtedy poczucie, że nikogo właściwie nie zna. A przede wszystkim siebie.

- Gdybym nie pracował w tej branży, nadal jeździłbym motorem. Mam motor, żaden tam szpanerski. Jeżdżę nim w weekendy za miasto.

Chciała zapytać, czy sam, ale ugryzła się w język. Już raz zadała podobne pytanie. Nie powinna więcej się tym interesować.

Pogawędzili o wspólnych znajomych. Rick wiedział o nich sporo. Życie toczyło się dalej, na świat przychodziły dzieci, ludzie się pobierali i rozwodzili, rodzice odchodzili.

Podobało się jej, w jaki sposób prowadził samochód - płynnie, bez niepotrzebnego hamowania czy naciskania na gaz. Nie zdenerwował się, kiedy stanęli w korku.

- Dlatego utknęliśmy - rzekł na widok młodej kobiety, która stała przed podniesioną maską podniszczonego auta i bezradnie wpatrywała się w silnik. Rick zjechał na pobocze, zatrzymał się. - Zobaczę, czy mogę coś pomóc.

Powiedział to tak, jakby to było coś oczywistego, coś, co każdy przyzwoity człowiek robi bez chwili wahania. Kiedy wrócił, otarł pobrudzone ręce białą chusteczką.

- Pięknie postąpiłeś, udzielając jej pomocy.

- Nie mogłem wiele zrobić. Wezwałem pomoc drogową.

Zachował się super. A już myślała, że taka staroświecka kurtuazja całkiem zanikła.



- Wyglądała jak Bobbi - rzekł. - Chciałbym, by w podobnej sytuacji też ktoś jej pomógł. Jej czy tobie.

Trzymała się dzielnie, lecz w takich momentach, gdy ktoś okazywał serce, stawała się bezbronna. Wzięła się w garść. Skoro jest taki porządny, to czemu wtedy tak się zachował? Mógł jej pomóc, wyjawiając prawdę o zagrywkach Blaira, ale nie zrobił tego.

O tym musi pamiętać, gdy poddaje się magii jego zapachu, tonie w głębi zielonych oczu, urzeka ją widok jego palców na kierownicy. Nie może ulec powierzchownym wrażeniom i uwierzyć, że on naprawdę jest z gruntu porządny.

Skrzyżowała ręce na piersi, uciszając bolące serce. Zapatrzyła się w okno.

Od razu spostrzegł zmianę w jej zachowaniu. Nie miał pojęcia, co jej się stało, co ją tak zmroziło.

Co on najlepszego wyczynia? Po co proponował jej pomoc przy rozpakowywaniu i pieczeniu ciasteczek? Usprawiedliwiał się w duchu, że to tylko sposób, by dojść do celu, jaki sobie postawił. Negocjacje to jego zawód. Jest w tym dobry.

Jednak czy nie ryzykuje zbyt wiele? Włączając ją w przebudowę domu, skazywał się na częste kontakty, sam kręcił na siebie bicz. Nie obiecał Bobbi aż tyle.

Hm, lubi Lindę.

Zawsze ją lubił. I zawsze wiedział, że wyszła za człowieka, który nie był jej wart. Gdy westchnął ciężko, Linda zerknęła na niego. Bał się, że go przejrzy, dostrzeże ciężar przytłaczający jego duszę.

Dlaczego spytała, czy kogoś ma? Co nią kierowało?

Naraz go tknęło, że choć znali się od młodości, teraz ich znajomość weszła w nowy etap. Po raz pierwszy oboje byli wolni, bez partnerów. A on wyskoczył z propozycją wspólnego pieczenia ciastek! Dla wdowy to może być równoznaczne z propozycją małżeństwa!

Jest coś, na co nigdy się nie zdecyduje - a mianowicie na małżeństwo. Podpisując papiery rozwodowe, pogrzebał część siebie, tę wrażliwą i czułą, najbardziej narażoną na cierpienie.

Lubił być sam, wcale jednak nie z powodów, które zwykle przychodzą ludziom na myśl. Nie należał do tych, co skaczą z kwiatka na kwiatek, nie przepadał za randkami. Nade wszystko cenił sobie wolność, to, że w każdej chwili mógł wsiąść na motor, nie opowiadając się nikomu, dokąd jedzie i kiedy wróci. Lubił poczucie, że jeśli zechce, zadzwoni i zarezerwuje wycieczkę na Tajwan, do Bombaju czy na Borneo. Lubił włóczyć się z plecakiem po Meksyku czy Ameryce Południowej, wędrować bez żadnego planu, przemieszczając się zatłoczonymi po dach autobusami pełnymi kur, matek, babek i dzieci. Lubił wstać w środku nocy i pograć w szachy przez internet. Po prostu lubił być sam!

To „coś”, co przebudziło się w nim i przemknęło, gdy był u niej w domu, w jej sypialni, może zagrozić jego dotychczasowej egzystencji. Jeśli tylko do tego dopuści.

Na pewno tego nie zrobi. Nie ma szans.

Chce wyciągnąć ją z depresji, to wszystko. Przywrócić do życia. Zrobić dobry uczynek, tak jak pomógł tej dziewczynie na drodze. Oczywiście, nie powie jej tego, bo pewnie by go zabiła. Co może i tak zrobi. Zerknął na nią ukradkiem. Nie musi się martwić, że Linda spróbuje zastawić na niego sidła. Wystarczy na nią spojrzeć. Nie miał pojęcia, czym ją tak dotknął. Jakby był jej największym wrogiem.

Wjechali do dzielnicy Mount Royal leżącej na wzgórzu na południe od centrum miasta. Powstała w latach 1904-1914 i już w założeniu miała prestiżowy charakter. Piękne domy wznosiły się na dużych działkach, w cieniu potężnych drzew ciągnęły się bulwary. Pojedyncze domy dobudowano później, jednak okolica zachowała luksusowy styl. Ceny domów zaczynały się od półtora miliona dolarów, a wiele sprzedawano za sumy trzykrotnie wyższe.

Podjechali pod dom O'Brianów, typowy dla tej dzielnicy. Na obu kondygnacjach ciągnęły się zadaszone werandy, do wejścia prowadziły szerokie schody, oryginalne górne szybki w wykuszowych oknach lśniły kolorami. Ten widok jak zawsze go ucieszył, lecz radość zgasła na widok starszej pani bujającej się na werandzie jego domu. Jakby była u siebie.

- To jest Mildred - mruknął. - Uważaj na nią. Pewnie ma przy sobie kolta naładowanego solą.

Według Lindy Mildred wyglądała na dystyngowaną staruszkę. Popatrzyła na Ricka zjadliwie i pośpiesznie wyskoczyła z cadillaca.

Westchnął i wysiadł. Wsunąwszy ręce w kieszenie, poprowadził Lindę do wejścia. Mildred z zaciętą twarzą ruszyła im naprzeciw.

- Linda Starr - przedstawił Rick. - Mildred Housewell.

Najchętniej przegnałby Mildred ze swego terenu, lecz nie chciał pokazywać się Lindzie od złej strony.

- Kiedyś nazywałam się O'Brian - znacząco rzekła Mildred i skrzywiła się.

- Miło słyszeć - szczerze odparła Linda i ujęła jej dłonie. -  
Będzie pani tak dobra i oprowadzi mnie po domu?

Mildred zerknęła na Ricka ze złośliwą satysfakcją, jakby wreszcie poczuła, że ktoś ją docenił.

- Z przyjemnością.

Gdy Rick otworzył zamki, panie weszły do środka, pozostawiając go samemu sobie.

Pierwszym właścicielem domu, zbudowanego w 1912 roku, był dziadek Mildred. Każde pomieszczenie miało swoją historię, którą wnuczka fundatora posiadłości z chęcią przytaczała. Wiedziała wszystko na temat kolejnych modernizacji i remontów.

Wewnątrz dom przedstawiał obraz nędzy i rozpacz: oryginalne parkiety były przykryte zniszczonymi, poplamionymi chodnikami, wszędzie wały się nikomu niepotrzebne rupiecie i starocie. Rury pod kuchennym zlewozmywakiem przeciekały, podobnie jak w jednej z łazienek na piętrze. W domu panowały wilgoć i zaduch.

Jednak najważniejsze było to, co stanowiło o wyjątkowości domu: witrażowe szybki, piękne boazerie, wysokie sufity, detale architektoniczne, na które w dzisiejszych czasach niewielu mogłoby sobie pozwolić. Rick, który doskonale znał lokalny rynek

nieruchomości, dobrze wiedział, że zainwestowanie w remont choćby stu tysięcy dolarów znacznie podniesie wartość posesji. A jednocześnie stary dom odzyska dawny blask.

Popatrzył z ukosa na Lindę. Miała takie same odczucia jak on, gdy po raz pierwszy zobaczył ten dom. Linda kochała stare domostwa. Współczesne rezydencje, wszystkie jak spod sztancy, zupełnie jej nie interesowały, za to urzekały ją stare wille, przypominające wiekowe dostojne damy, które miały klasę i charakter.

- Ma pani może jakieś wcześniejsze zdjęcia? - zapytała Linda, gdy skończyły obchód.

Mildred popatrzyła na Ricka triumfująco.

- Całe mnóstwo!

- Mogłabym je zobaczyć?

- W jakim celu? - obudziła się w niej podejrzliwość.

- Pani Mildred - łagodnie zaczęła Linda. - Pani rodzina sprzedała ten dom po śmierci pani mamy.

- Ale ja nie chciałam go sprzedawać! - chlipnęła. - Jak oni mogli to zrobić?

- Zapewne zdawali sobie sprawę, że nie stać ich na przeprowadzenie niezbędnych prac lub też nie chcieli się w to angażować. Konieczny jest poważny remont, lecz ten dom zasługuje, by przywrócić mu dawną świetność. Chciałabym więc obejrzeć te zdjęcia, żeby zrobić to jak należy. Liczę na pani pomoc.

Mildred znowu popatrzyła na Ricka z satysfakcją. Wreszcie ktoś ją docenił.

Linda chyba nie zdaje sobie sprawy, pomyślał, w co się pakuje, decydując się na kierowanie remontem i zarazem biorąc sobie na głowę Mildred.

Starsza pani znów wdała się w drobiazgową opowieść o historii domu. Rick zaczął się niecierpliwić, ale Linda przysłuchiwała się z głęboką uwagą... i zrozumieniem, jak ktoś, kto również poniósł stratę. Wcześniej jej takiej nie znał. Gdy tak wsłuchiwała się w słowa staruszki, pochylając się ku niej, nieoczekiwanie zobaczył ją inaczej, jakby zajrzał w jej duszę.

Otworzyły mu się oczy. Pojął, jak boleśnie Linda została zraniona. I to nie tylko przez Blaira.

On też jest winny. Bobbi wiedziała to, kiedy dzwoniła. Do niego dotarło to dopiero teraz. To również przez niego Linda straciła zaufanie do ludzi. Pomoże jej je odzyskać, nawet jeśli to wiąże się z zagrożeniem dla jego stylu życia, dla jego wolności. Musi to dla niej zrobić. Zachowa się jak należy, honor tego wymaga.

Miał sobie wiele do zarzucenia, skoro przez lata chronił Blaira. Teraz znów stanął przed wyborem. Co z tym ostatnim sekretem, który przed nią ukrywa? Czy Linda nie załamie się, gdy dowie się o ogromie zdrady Blaira?

- Na pewno nie zdołamy odtworzyć każdego detalu, jak pani by tego chciała - mówiła Linda - ale postaramy się przywrócić ducha tego domu, przywrócić mu blask. Kiedy zakończymy prace, efekt powinien być wspaniały.

Mildred zaczęła płakać, bo usłyszała to, na czym najbardziej jej zależało. Jej rodzinny dom zostanie przywrócony do życia, pamięć o jej rodzinie nie zaginie.

Rick nie odrywał oczu od Lindy. Uśmiechnęła się do niego lekko. Już wiedział, czego jemu i Blairowi brakowało. W swą pracę nie wkładali serca.

Patrzył na Lindę i widział głębię jej natury. I naraz spłynęło na niego olśnienie. Już wiedział, jak przywrócić jej wiarę w siebie, ufność i zaufanie do ludzi.

Kiedy Mildred odeszła, w milczeniu obeszli dom. Linda dotknęła kamiennego muru otaczającego posesję.

- To było genialne - rzekł Rick. - Dziękuję. Zaśmiała się w zamyśleniu.

- Od wariatki do geniusza, i to w ciągu godziny.

- Zajmiesz się remontem, prawda? - zapytał cicho. Chciałby ją objąć, poczuć smak jej ust, zajrzeć jej w oczy. Nie powinien ulegać takim podszeptom. Nic dobrego by z tego nie wynikło. I jak ma przywrócić jej zaufanie, skoro nadal coś przed nią ukrywa?

Może nigdy nie zdradzi jej tej ostatniej tajemnicy.

- Co? - zapytała szeptem, jakby wiedziała. I jakby nie zamierzała się opierać, gdyby przygarnął ją do siebie. Jakby wszystko można było tak łatwo zapomnieć.

- Poprowadzisz ten remont.

W jej oczach błysnęły łzy. Instynktownie czuł, że chce odmówić. Tak jak wiedział, że nie chce jego pomocy przy

rozpakowywaniu kartonów i pieczeniu ciastek. Jednak ten dom ujął ją swym cichym, wszechpotężnym pięknem.

- Z radością.

Oboje odetchnęli. Czy w obliczu tego cichego piękna on też okaże się taki bezbronny? Piękna nie tego domu, lecz tego, które ujrział w jej oczach.

## *ROZDZIAŁ TRZECI*

Podjechali pod jej dom.

- To co, Lindo, mogę wpaść do ciebie pod wieczór? - spytał Rick, machinalnie spoglądając na zegarek.

Ten zwykły gest uprzytomnił jej, że sama nie ma do czego się śpieszyć. Jej życie, które dotąd koncentrowało się wokół córki, od kiedy Bobbi zaczęła studia w innym mieście, stało się puste i jałowe. Choć dzisiaj rano widok żurawia natchnął ją nadzieją. Czowała się odrodzona, napelniona nową wiarą. Cieszyła się z nowego domu, z widoku rzadkiego ptaka. Wydawało się jej, że to wystarczy i niczego więcej jej nie trzeba. Jednak pojawienie się Ricka uzmysłowiło jej, że pragnie czegoś więcej. Poza tym teraz, skoro zgodziła się poprowadzić remont domu, jej tryb życia radykalnie się zmieni.

Nie chciała, by Rick odjeżdżał. Dobrze jej było w jego towarzystwie. Samotność, która na jego widok dopadła ją z tak dojmującą siłą, stała się trudna do zniesienia. I nawet widok żurawia niewiele tu pomoże.



Już lata temu swoje życie całkowicie podporządkowała Bobbi. Szyła kostiumy na Halloween, była przewodniczącą komitetu rodzicielskiego, woziła córkę na muzykę i łyżwy, do lekarza, optyka, ortodonta.

Kiedy Bobbi przeszła do klasy maturalnej i matczyzna opieka przestała być konieczna, Linda skupiła się na szukaniu sukni na bal maturalny i planowaniu odpowiedniej uroczystości. Przez ten ostatni rok często buszowały po sklepach i chodziły do kina. Lindzie wciąż towarzyszyła rozpaczliwa świadomość, że wspólne dni z córką wkrótce się skończą.

Czy Bobbi służyła jej za wymówkę, by rozluźnić kontakty z przyjaciółmi i znajomymi? Może w oczach innych stała się samotna i żałosna? Nawet jeśli, to nie chciała tego tak widzieć.

- Dzisiaj? Przepraszam cię, Rick, ale już mam pewne plany.

Uniósł brwi, jakby czekając na wyjaśnienia. Nie chciała tego robić. Niech sobie myśli, że się z kimś umówiła. Cóż, miała randkę ze starą wanną, która czekała, by doprowadzić ją do błysku, i nierozpakowanymi kartonami. Ale Rick nie musiał tego wiedzieć.

- No dobrze. Więc może jutro? Przywiozę wstępny budżet remontu i namiary sprawdzonych ekip budowlanych. Chciałabyś stałą pensję czy wolisz procentową prowizję?

Wiedziała, że prowizja wiąże się z większym ryzykiem, ale nowa Linda nie bała się stawiać wszystkiego na jedną kartę.

- Prowizję - odparła bez wahania, a Rick z aprobatą skinął głową.

Klamka zapadła. Nagle Linda uświadomiła sobie coś jeszcze - nie chce bawić się z Rickiem w żadne gierki. Takie przecież było jej małżeństwo i nic dobrego z tego nie wyszło. Nowa pani Starr nie będzie manipulować ludźmi, by pokazać się w innym świetle. Wieczorem zamierzała szorować łazienkę. Czemu miałaby to ukrywać? Chciała być z nim szczerą.

Poza tym Rick wyświadczył jej przysługę, bo przywożąc papiery, oszczędzi jej wizyty w agencji. Nie będzie musiała oglądać współczujących min i porozumiewawczych spojrzeń. Czy dlatego się z tym zaofiarował? By ułatwić jej życie?

- Wiesz co, może jednak przyjeżdż. To, co chciałam zrobić, może poczekać. - Nabrała powietrza. - Planowałam szorowanie wanny.

Jeśli go rozbawiła, to niczego po sobie nie okazała.

- Świetnie - rzekł z zadowoleniem. - Im szybciej ruszymy z tym remontem, tym lepiej. Przyjadę koło wpół do dziewiątej. To nie za późno?

No tak. Skoro już wiedział, że zamierzała spędzić wieczór na pucowaniu wanny, to na pewno uznał, że o wpół do dziewiątej będzie już leżała z książką w łóżku. Hm, to się jej zdarzało.

- Nie. Pasuje mi.

Wysiadła, Rick odjechał. Odprowadziła wzrokiem znikający samochód, potem powoli ruszyła do domu. O świcie zobaczyła żurawia i od tej pory jej życie wkroczyło na nowe tory. Wcale jej to nie martwiło.

- Och, Lindo - mruknęła. - Uważaj, bo igrasz z ogniem.

Westchnęła. Miała tyle rzeczy do zrobienia. Zamierzała pomalować i odnowić podłogi, a jeszcze nawet nie wzięła się do rozpakowania pudeł. Po co angażuje się w dodatkowe zadania? Wstąpiła w nią nadzieja, że jej życie może nabrać barw i nowych znaczeń i wcale nie musi ograniczać się do spokojnej, samotnej egzystencji w tym skromnym domu.

- To ci wyjdzie na dobre - dodała sobie otuchy.

Wiedziała, że powinna zabrać się do kartonów leżących w kuchni, a jednak ruszyła do sypialni i zaczęła przerzucać pudła, póki nie znalazła tego, co było jej potrzebne. Położyła na łóżku sweter z białej angorki, czarne spodnie, delikatne kolczyki z brylantem i dobraną do nich bransoletkę. Kosmetyki i perfumy obok nich. I jakby nie miała mnóstwa innych, pilniejszych rzeczy do zrobienia, przebrała się w naszykowany strój. Stała przed lustrem i z zadowoleniem popatrzyła na swoje odbicie. Wyglądała tak, jak chciała: kobieco, dyskretnie seksownie, profesjonalnie.

- Kogo chcesz oczarować? - mruknęła.

Nie, nie o to chodziło. Chciała tylko zatrzeć wrażenie, jakie odniósł Rick, gdy ujrzał ją w tej misiowatej różowej piżamie. Cóż złego w tym, że kobieta chce pokazać się z jak najlepszej strony? Przez ponad rok w ogóle nie zależało jej na wyglądzie, lecz pora z tym skończyć.

Resztę dnia spędziła na rozpakowywaniu kartonów, zdążyła nawet wyszorować wannę. Na koniec wykąpała się, przebrała i

przyczesła włosy. Delikatnie skropiła się perfumami, zrobiła niemal niewidoczny makijaż.

Malując się, dostrzegła ślady mijającego czasu: delikatne kurze łapki, zmarszczki między brwiami, owal twarzy mniej wyrazisty niż kiedyś. Może to świadomość tych oznak wprawiła ją w stan narastającego zdenerwowania. Im mniej czasu zostawało do wpół do dziewiątej, tym bardziej czuła się jak nastolatka przed randką.

- Nie bądź śmieszna - upominała się. - Przecież to tylko Rick! - Rick, którego znała od zawsze, przez całe dorosłe życie.

Mimo to czuła się coraz bardziej spięta. Kiedy dwadzieścia po ósmej otwierała mu drzwi, była jak kłębek nerwów. Punktualny, pochwaliła go w duchu, jakby nie mogła przestać go oceniać.

Zachowywała się jak podłotek, a jednak nie mogła się powstrzymać. Przyjrzała mu się uważnie. Ricka czas też nie oszczędził. Sieć drobniutkich zmarszczek wokół oczu zwracała uwagę na gęste rzęsy, w ciemnych włosach srebrzyły się jasne nitki. Jak to się dzieje, że niektórym mężczyznom dojrzałość tak służy? Rick był w dżinsach i ciemnozielonej koszuli z długim rękawem. Ta zieleń jeszcze mocniej wydobywała kolor jego oczu. Był ogolony i starannie uczesany, ale niepokorny kogucik nadal sterczał na środku głowy. Aż ją swędziały palce, by go przygładzić. Schowała ręce za siebie.

- Cześć. - Cieszyła się w duchu, że jej głos nie zdradził tych niepoprawnych myśli, z którymi nie mogła sobie poradzić.

- Mam coś dla ciebie. - Pomachał teczką i trzymaną w drugiej ręce torbą. - Prezencik.

- Dla mnie? - Cofnęła się, przepuszczając go do środka. - Ale dlaczego?

- Na oswojenie domu - odparł tajemniczo.

- No wiesz! Nie musiałeś. - Jednak w skrytości ducha cieszyła się, że o niej pomyślał.

Usunęła z salonu większość kartonów, więc mogli tam usiąść, lecz Rick od razu skierował się do kuchni. Już się tu czuje jak u siebie!

Wyjął z torby trzy opakowania gotowego ciasta. Linda wybuchnęła śmiechem.

- Z kawałkami czekolady, z czekoladą i orzechami pekan, z płatkami owsianymi i rodzynekami - wyrecytował. - Mówiłem ci, że wiem, jak zrobić ciasteczka. Na które masz ochotę?

- Z czekoladą i orzechami, to oczywiste.

- Wiedziałem, że tak wybierzesz.

- Wiedziałeś? Skąd?

- Bo wyglądasz mi na dziewczynę, która za takimi specjałami przepada.

Minęło mnóstwo czasu, odkąd ktoś o niej tak powiedział. Powinna sprostować, lecz nie zrobiła tego.

- Mamy tu też... - sięgnął do torby i wyjął pudełeczko - ciastka z czekoladową krówką i z lukrem. Zaraz zapachnie domowo.

- Ja tam wolę ciastka z czekoladą.

- Wiedziałem. Zawsze możemy zostawić je na następny raz.

Te słowa dały jej do myślenia, wręcz zapaliła się czerwona lampka. Musi uważać, bo prawdziwe zagrożenie to nie praca, na którą się zgodziła, lecz zgoda na ponowne wkroczenie Ricka w jej życie.

Nawet jeśli wyczuł jej obawy, to niczego po sobie nie okazał.

- Aha, mam jeszcze coś! - Z szerokim uśmiechem podał jej opakowanie profesjonalnego środka do czyszczenia wanien i glazury.

Rozbroił ją tym gestem. Czyli słuchał uważnie, co do niego mówiła!

- Dzięki. No to zapowiada mi się wyjątkowo uroczy sobotni wieczór.

- Kąpiel w pianie? Przy świecach? - rozmarzył się. Poczula, że oblewa się rumieńcem.

- Miałam na myśli, że przez cały wieczór będę szorować wannę!

- Takie obsesyjne pucowanie akurat wanny musi mieć jakiś powód.

Zaniemówiła. Rozmowa z Rickiem o wannie i kąpeli przy świecach wywierała dziwny efekt. A ten jego błysk w oku...

Chyba jednak coś się jej przywidziało, bo Rick nagle zmienił temat:

- Masz blachę do pieczenia? Wstawmy ciasteczka, a gdy będą się piekły, przejrzymy materiały dotyczące domu O'Brianów.

- Łapiesz dwie sroki za ogon - zażartowała, lecz wciąż nie mogła oderwać się od myśli o romantycznej kąpeli.

- Mhm.

Jak to się dzieje, że jednocześnie było jej z nim tak łatwo i tak trudno? Jakoś tak na nią wpływał, że czuła się podekscytowana i zmieszana jak dzierlatka niemająca pojęcia o mężczyznach, zamiast zachowywać się jak dorosła kobieta, która niedawno pochowała męża i ma córkę studentkę. Niezależna kobieta, która właśnie kupiła dom i samochód.

Wyjęła blachę z kartonu.

- No to teraz patrz. - Rick, celebrując z powagą swoje dzieło, odpakował ciasto, nabrał sporą porcję i wyłożył ją na blachę, a potem przyklepał drewnianą łyżką. Ciasteczko zajęło ósmą część blachy. Gdy Linda wybuchnęła śmiechem, posłał jej groźne spojrzenie. - Nie ma się z czego śmiać. Uzyskanie doskonałego ciastka wymaga prawdziwej wiedzy.

- Hm, twój sposób jest... bardzo męski.

- Zaraz zobaczymy twój.

Nabrała łyżką niewielką ilość ciasta, uformowała zgrabną kulkę i ułożyła ją na blasze.

- Nie można dotykać palcami? - zakpił Rick i demonstracyjnie oblizał dłoń z resztek ciasta.

Jak mogłaby czuć jakieś obiekcje, gdy jego palce wyglądały tak... apetycznie?

- Można.

Przy następnym ciastku pomogła sobie palcem, a potem zlizwała z niego ciasto. Cudowne było poczucie, że wreszcie nie musi być perfekcyjną panią domu szykującą ciasteczka na szkolny kiermasz!

Stojąc ramię w ramię, formowali ciasteczka i układali je na blasze. Było miło, domowo.

Kiedyś, dawno temu, marzyła o takich wspólnych wieczorach w kuchni, tyle że Blair nie podzielał jej upodobań. Nie gustował w pieczeniu ciasteczek czy smażeniu naleśników na niedzielne śniadanie, co jasno stwierdził, gdy tylko dowiedział się, że zostanie ojcem. Postąpił honorowo i zaproponował ślub, choć nie był zachwycony sytuacją. Przestraszona, a zarazem zauroczona Linda popełniła kardynalny błąd i uwierzyła, że Blair się zmieni. Czekало ją gorzkie rozczarowanie, bo mimo jej starań mąż nigdy nie pozbył się poczucia, że został osaczony, po prostu dał się złapać.

Już samo wspomnienie obudziło w niej złość i ból.

- Hej! - Rick leciutko pacnął ją w nos drewnianą łyżką. - To tylko ciasteczka! Nie rób takiej miny, bo będziesz miała zmarszczki!

Dokładnie w tym miejscu dziś rano dostrzegła zmarszczkę! Ciekawe...

- Jestem w takim wieku, że zmarszczki przyjmuję jako fakt oczywisty. Co dzień robi się nowa - rzekła z godnością.

- Naprawdę? - Wlepił wzrok w jej twarz. - Wcale ich nie zauważyłem - rzekł ciszej. - Kiedy cię zobaczyłem, pomyślałem, że wyglądasz pięknie. Tak jak pamiętałem.

Oboje ucichli. Przez mgnienie bała się, że zaraz się rozplacze. Kiedy ostatni raz ktoś jej powiedział, że jest piękna? Nagle Rick leciutko się uśmiechnął.

- Och, masz tu ciasto. - Musnął jej czoło, oblizał palec.



Lindzie zabrakło tchu. Ta chwila... ta delikatność dotyku... a także wcześniejsze słowa Ricka rozmiękczyły ją. Bała się, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem lub zrobi coś równie idiotycznego.

- Wstawmy ciastka do piekarnika i bierzmy się do roboty. - Zarumieniła się gwałtownie, jakby to, co miała na myśli, w żaden sposób nie łączyło się z przyniesionymi przez Ricka papierami.

- Masz ciasto na swetrze.

Czy jej się wydawało, że jego głos zabrzmiał inaczej, bardziej chrapliwie?

Zerknęła po sobie. Napięcie między nimi narastało. Jeśli Rick spróbuje zetrzeć z niej to ciasto, to będzie po niej.

Na szczęście nie zrobił tego, tylko wyjął z teczki papiery.

Wstawiła blachę do piekarnika. Ciepło, które z niego buchnęło, usprawiedliwiało jej rumieńce. Dyskretnie wyczyściła sweter i podeszła do stołu.

- No dobrze - rzeczowo zagaił Rick. - Zobacz, tyle daliśmy za dom.

- Nieźle, jak na taką lokalizację. Świetny interes. - Przybrała poważną minę, pochyliła się nad stołem.

- Właśnie na wyszukiwaniu okazji polega mój zawód. Staram się dostrzec ukryte walory, których inni nie widzą.

- Inni widzą tylko zapuszczoną posesję i mnóstwo pracy, czyż nie tak? Ty patrzysz głębiej. - Lindzie chodziło nie tylko o rezydencję O'Brianów, lecz i o nią samą. Dopatrzył się w niej piękna. Nic dziwnego, że tak trudno jej się skoncentrować.

- W tym Cała tajemnica. Spójrz, tyle mniej więcej przewiduję na remont.

- Rick, to masa pieniędzy - zaczęła niepewnie. - Ja już od lat nie robiłam czegoś takiego...

- Dasz sobie radę.

- Skąd taka pewność?

- Widzę to po twojej twarzy.

Znow musiała z sobą walczyć, by się nie rozplakać. Co on z nią robi? Widzi w niej coś, czego od dawna nikt się w niej nie dopatrył: piękno, talent, siłę. I jakim cudem jego optymizm i wiara dają jej pewność, że naprawdę sobie poradzi?

- Zakładam, że dom, gdy już będzie gotowy, osiągnie na rynku taką cenę.

Wlepiała wzrok w cyfry, szybko obliczyła zysk.

- Fundusz mojej córki jest w dobrych rękach, co? Rick roześmiał się.

- To są tylko wstępne założenia. Rzeczywistość może być inna. Trzeba brać pod uwagę różne warianty.

Z nią też może być różnie. Uważa ją za piękną, zdeterminowaną profesjonalistkę, ale czy naprawdę jest taka? A jeśli zawiedzie, jeśli się nie sprawdzi? Ogarnął ją lęk, obudziły się wątpliwości. Naraz uświadomiła sobie, że przecież ten dom też jest piękny i ma w sobie siłę. Potrzeba tylko właściwej osoby, by wydobyła jego wcześniejszy blask.

Ona jest taką osobą.

Czy Rick będzie taką osobą dla niej?

Nie miał pojęcia o jej gorączkowych rozmyślaniach. Podsunął jej wizytówkę fachowca specjalizującego się w renowacji podłóg.

- Prawdziwy artysta w swoim fachu. Zdobywa deski ze starych stajni i odnawia je.

Po kolei przejrzała przyniesione przez Ricka foldery i ulotki wypróbowanych firm budowlanych, z którymi współpracował od kilkunastu lat.

Ogarnęło ją podniecenie.

I wtedy zapiszczał piecyk.

Rick odsunął od siebie papiery.

- Zostawiam ci to, przejrzyj je, a ja zajmę się ciasteczkami. W tej branży prezentacja jest kluczem do sukcesu.

Wiedział, jak zachwalić towar, znał się na tym. Wyłożył na talerz swoje wielkie, nieforemne ciastko. Linda Odłamała kawałek, skosztowała i pochwaliła. Rick też ukruszył kęs. To wspólne próbowanie ciastka wydało się jej takie seksowne...

Spróbowali doskonałego okrągłego ciasteczka, które wyszło spod jej ręki.

- Jest dobre, ale nie aż tak - oświadczył. - Zbyt perfekcyjne.

Odgryzła kawałek. Jak to możliwe, że dwa ciastka, upieczone w tym samym piecyku, z tego samego ciasta i na tej samej blaszce, mają zupełnie inny smak?

- Masz rację - przyznała. - To pierwsze wygrywa bezapelacyjnie.

Sięgnęli po następne ciasteczka. Pochłaniali jedno po drugim, aż do przesyty.

Po rozwodzie w Ricku obudziła się żyłka podróżnicza. Wąchał jaśminy w Jordanii, korzenne przyprawy na indyjskich bazarach, róże w angielskich ogrodach. Ale teraz, siedząc w niewielkiej kuchni Lindy, nie był pewny, czy kiedykolwiek czuł coś bardziej egzotycznego i odurzającego niż świeży zapach jej szamponu przemieszany ze słodką wonią gorących czekoladowych ciasteczek.

Popatrzył na nią. Z uwagą studiowała kosztorys. Nagle mu się zdało, że czas cofnął się o dwadzieścia lat. W oczach Lindy paliła się żarliwa ufność w powodzenie przedsięwzięcia i gotowość do działania. Upływ czasu zmienił ją, lecz teraz wydawała się cudowniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Powiedział jej, że jest piękna, i naprawdę tak myślał.

Podniosła się, by wyjąć z piecyka drugą porcję ciastek. Skorzystał ze sposobności i przyjrzał się Lindzie uważnie. Wyglądała świetnie.

Byłaby zła, gdyby powiedział, że ten sweter w pewien sposób przypomina mu jej poranny strój. Sweter był bardzo wyrafinowany i zamiast ukrywać, podkreślał kształty, jednak tak jak flanelowa piżama kojarzył się z czymś przyjemnie ciepłym i miękkim. Korciło go, by porwać ją w ramiona.

- Proszę. - Postawiła na stole pełen talerz ciastek.

Sięgnął po jedno, choć już zjadł ich tak dużo. Co za pychota! Aż zamknął oczy, rozkoszując się smakiem gorącej roztopionej czekolady.

Jadał już w życiu wspaniałe i najbardziej egzotyczne potrawy. Jak to możliwe, że zwyczajne ciastko wydaje mu się niezrównane?

Otworzył oczy. Na wprost siebie miał Lindę. Siedziała ze spuszczonej powiekami, na wardze miała roztopioną czekoladę. Jeśli nic się zaraz nie wydarzy, zrobi coś z tą słodką drobiną.

Wydarzyło się.

Zadzwoił telefon.

Linda wstała, zerknęła na wyświetlacz telefonu i uśmiechnęła się.

- Bobbi - powiedziała, podnosząc słuchawkę.

Naraz zmieniła się na twarzy, posłała mu ostre i gniewne spojrzenie.

Rany, dlaczego nie zadzwonił do Bobbi i nie uprzedził jej, że Linda nic nie wie o ich rozmowie? Sądząc po jej minie, może zapomnieć o czekoladzie na jej ustach. I to na długo.

Odłożyła słuchawkę, skrzyżowała ramiona i zmierzyła go groźnym spojrzeniem.

- Może ciasteczko? - zaproponował niepewnie.

- Czyli to był pomysł Bobbi! Dlatego tu przyjechałeś.

Zaproponowałeś mi zajęcie, bo moja córka się o mnie martwi.

- Hm - zwlekał z odpowiedzią. - I tak, i nie.

- Może zechcesz wyrazić się jaśniej?

- Spróbuję. Bobbi rzeczywiście dzwoniła, bo niepokoi się o ciebie. Sprzedałaś Riverdale, kupiłaś mały samochód. Prosiła mnie, żebym się zorientował.

- Zabieraj te swoje ciastka i zjeżdżaj stąd.

- Lindo, poczekaj...

- Przestań mnie uspokajać, ty draniu!

Powinien poczuć się nie na miejscu, lecz nie mógł oderwać od niej oczu. Ta rozjuszona, ciskająca gromy Linda wprawiała go w zachwyty. Pierś falowała gwałtownie, wyglądało, że zaraz w niego czymś rzuci.

Przeczucie go nie myliło.

Chwyliła upieczone ciasteczko i cisnęła nim z całej siły. Uchylił głowę.

- Przyjechałeś tu, bo zrobiło ci się mnie żal!

Wpatrywał się w nią i za nic nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego tu się zjawiał. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że taka kobieta potrzebuje litości.

- Jeśli nawet tak było... - kolejne ciasteczko zamieniło się w pocisk - ...to teraz jestem tu z innego powodu. - Złapała następne ciastko, lecz zawahała się. To dało mu nadzieję. - Lindo, kiedy cię zobaczyłem, od razu wiedziałem, że to najlepsze rozwiązanie. Po prostu doskonałe.

- Wynoś się stąd.

- Nie wyjdę, póki nie załatwimy tego jak dorośli ludzie.

- Nie chcę niczego załatwiać.

Tknął go sposób, w jaki to powiedziała. Dopiero teraz dotarło do niego, jak bardzo jest krucha i bezbronna. Widział to w jej oczach. Była przekonana, że przyjechał do niej z litości, zobaczył, w jak fatalnym jest stanie i napędce wymyślił dla niej pracę.

Znał tylko jeden sposób, by wyprowadzić ją z błędu. Udowodnić, że wcale nie uważa jej za żalosną.

Podszedł bliżej.

- Co robisz? - Obronnym gestem podniosła ciastko. - Odsuń się.

- Nie. - Już stał tuż przy niej.

Cofnęła się tylko o krok, bo dotarła do ściany.

- Masz tu trochę czekolady. - Dotknął jej wargi.

Nie poruszyła się, nie cofnęła głowy. Jej oczy niemo błagały. Chciał, by wiedziała, że znalazł się tu nie z litości czy z żalu. Po prostu nie mógł się jej oprzeć, oto przyczyna! Jeszcze nigdy nie wydawała mu się taka piękna. Oblizwał czekoladę z palca.

Jej oczy zrobiły się okrągłe, usta też. W uroczy sposób.

- Och!

Poczuł czekoladę, lecz to nie tego smaku szukał. Dotknął ustami jej ust.

I dopiero kiedy to zrobił, uświadomił sobie, że o takiej chwili marzył od dwudziestu paru lat, chciał tego, modlił się o to. To muśnięcie miało w sobie tak ogromną siłę, że zdumiony cofnął się.

W oczach Lindy też malowało się zdumienie.

Dotknęła palcem ust. Oczy jej jaśniały.

- Chyba powinienem sobie pójść - powiedział, choć oddałby wszystko, by tu zostać. Jego myśli poszybowały ku wannie wypełnionej pianą, ku wodzie lśniącej w blasku świec.

- Chyba tak - przytaknęła bez przekonania.

Cofnął się. Powietrze wciąż było gęste od napięcia.

- Potrzebuję cię. - Dopiero gdy te słowa przebrzmiały, dotarło do niego, że wyraził się niewłaściwie. - Chciałem powiedzieć, że ten dom cię potrzebuje. Naprawdę.

Linda skinęła głową.

- To jak, weźmiesz się do tego?

Znowu skinęła głową, jakby była w transie.

- Cieszę się. - Podeszedł do stołu i zaczął chować do teczek papiery, zastanawiając się, co zostawić, a co zabrać. Odwrócił się. Bał się, że jeśli jeszcze raz popatrzy na Lindę, to przestanie ręczyć za siebie. Rzuci teczkę i jak szalony pogna do Lindy, by poczuć miękkość jej ust...

Opanuj się, zgromił się w duchu.

- Dobranoc. - Szybko ruszył do drzwi.

- Rick? - Gdy odwrócił się i popatrzył na nią, powiedziała: - Dziękuję. - Oblała się rumieńcem i dodała pośpiesznie: - Za ciasteczka.

Oboje wiedzieli, że co innego miała na myśli. I że lepiej nie drażnić tego tematu.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Podszedł do drzwi swego luksusowego apartamentu i odetchnął głęboko jak człowiek, któremu cudem udało się przejść przez pole minowe. Jadąc do domu, był tak rozkojarzony, że omal nie wjechał na samochód, który nagle przed nim zahamował.

Pocałował Linde, dotknął ustami jej ust. To nawet nie był pocałunek, a trwające mgnienie muśnięcia, lecz poruszyło nim do głębi. Niebywałe, jak ulotne przeżycie może człowiekiem wstrząsnąć!

Nacisnął włącznik i przedpokój rozbłysnął światłem. Wszedł do salonu, swego ulubionego pomieszczenia, i rozejrzał się po wnętrzu, szukając oparcia w zgromadzonych tu sprzętach i rzeczach, świecie należącym wyłącznie do niego.

Skórzana kanapa i fotel, solidne męskie meble. Trofea z licznych podróży: przywieziona z Afryki rzeźba żyrafy, wyściełana jedwabiem kanapa z Indii, kupiony w Turcji dywanik w perski wzór, srebrny kubek z Londynu.

To wszystko było jego. Lubił swe rzeczy, miła mu była świadomość, że to wszystko ma wokół siebie. Niczego więcej nie potrzebował do szczęścia... aż do teraz. Odkąd pocałował Linde, wszystko widział inaczej.

To, co było przedtem, wydawało mu się bez znaczenia, ot, czysta iluzja. Przedmioty nie zdołają wypełnić życia, nie nadadzą mu sensu, nie zapełnią pustki, którą nagle odkrył w swoim sercu. Pustki i samotności.

Nie mógł się z tym pogodzić. Przesunął dłonią po rzeźbionej drewnianej skrzyni przywiezionej z Chin. I nic nie poczuł. Powietrze też było pozbawione zapachu, takie sterylne, nijakie. A tak chciałby znów poczuć aromat czekoladowych ciasteczek! Popatrzył na zegarek. Jeszcze zdąży do pobliskiego supermarketu. Upiecze ciasteczka, napelni dom ich zapachem. Obejdzie się bez Lindy.

Jednak zrezygnował z tego pomysłu, rozsiadł się na kanapie i włączył telewizor. Przeskakiwał z kanału na kanał, póki nie pojął, że to mu nie pomoże. Ani te beznadziejne programy, ani ulubione przedmioty nie wypełnią mu pustki.

Pocałował Lindę Starr.

Kiedy dotknął jej ust, miał poczucie, że na tę chwilę czekał przez całe życie. Co tam podróże, zgromadzone pamiątki, domy, które sprzedał! Wszystko, czego dotąd zakosztował, co dotąd przeżył, bladło w porównaniu z tym pocałunkiem, stawało się nieważne, nic nieznaczące. W ciemnych oczach Lindy, w miękkości jej ust, ujrzał miejsce, do którego jeszcze do tej pory nie dotarł. Ten nieznany ład to jego serce.

Wyłączył telewizor, zamknął oczy.

- A niech to! - wymamrotał na głos.

Chciał jej udowodnić, że jego propozycja nie wzięła się z litości, że wcale nie uważa jej za samotną i żalną. A udowodnił tylko, że sam siebie nie zna.

To jemu dokuczała samotność. To on był żaloszny. Zjeździł cały świat, by zagłuszyć tę prawdę, zapełnić pustkę wrażeniami i pamiątkami.

- Dość tego! - prychnął. Pójdzie do sklepu, upiecze te ciasteczka, upoi się ich aromatem w domowym zaciszu.

Jednak, kiedy godzinę później wyciągnął z piekarnika spalone na węgiel ciasteczka, zdał sobie sprawę, że daremnie się oszukuje. To nie zapachu ciasteczek potrzebował, a zapachu Lindy, słodkiego i kobiecego, urzekającego i zniewalającego. Wiedział, że nic innego mu jej nie zastąpi - i ta wiedza go przerażała. Dlatego tak rozpaczliwie próbował powrócić do swojego świata, do życia, nad którym miał kontrolę.

Musi się trzymać z daleka od Lindy. Nie myśleć o niej, o roztopionej czekoladzie na jej ustach ani o jej czekoladowych oczach. A już na pewno nie o jej zapachu kojarzącym się z powiewem wiosennego wiatru po długiej i ciężkiej zimie.

Musi zająć się pracą. Praca zawsze była najlepszym remedium, sprawdzała się w najtrudniejszych sytuacjach. To w pracy zatracił się, gdy jego małżeństwo zaczęło się chwiać i później, już po rozwodzie. Ile domów wtedy kupił i sprzedał? Dziesiątki? Setki?

Otworzył teczkę, by zagłębić się w dokumenty. Na samym wierzchu ujrzał papiery, które miał zostawić Lindzie. Ulotki, foldery, kalkulację budżetu, namiary na wykonawców.

- A niech to! - parsknął, przeciągając palcami po włosach. Nie miał innego wyjścia, musi się z nią znów spotkać.

Podrzuci jej te papiery jutro, od razu do domu O'Brianów, nie do tego jej domku przesiąkniętego zapachem ciasteczek, gdzie człowiek tak łatwo może stracić głowę i nawet się nie spostrzeże, że już po nim.

Właściwie jest jeszcze lepsze rozwiązanie. Poprosi kogoś z biura, by zawiózł papiery na budowę.

Wsunął je do teczki, poszedł do gabinetu i włączył komputer. Wiadomość od Bobbi.

Dziękuję!

Jęknął i wyłączył komputer, nie sprawdzając pozostałej poczty. Minął hol i wszedł do sypialni. Trochę przypominała loft: górowała nad znajdującym się piętro niżej salonem, druga ściana, cała przeszklona, wychodziła na rzekę. Przez długi czas wpatrywał się w ciemną tafłę wody, wreszcie położył się spać.

Masywne łóżko było za szerokie dla jednej osoby. Wiedział, że będzie przewracać się z boku na bok, daremnie próbując usnąć, bo nie może przestać myśleć o tym, jak zmieniło się jego uporządkowane życie w ciągu mniej niż dwudziestu czterech godzin.

W ciągu ledwie kilku sekund, gdy usta dotknęły ust...

Starał się skupić myśli na wyprawie na Bali. Może wybierze się tam koło Bożego Narodzenia...

Wciąż brzmiały mu w uszach jej słowa. Unikała ludzi z agencji, którzy tyle wiedzieli o jej osobistych sprawach. Czyli nie powinien wysyłać kogoś z biura, to byłoby nietaktowne.

Cóż, żaden problem. Wyśle papiery kurierem.

Wrócił myślą do ciągnącej się w dal białej plaży, turkusowej wody, palm kołyszących się łagodnie. Nagle pojawiła się tam Linda... z dłonią w jego dłoni.

Nie, kurier nie będzie jej niczego dostarczać, w każdym razie na pewno nie od niego.

Podjąwszy tę decyzję, od razu zasnął.

Jednak nazajutrz nie miał już takiej pewności. Ten pusty dom i ich dwoje to zbyt wielka pokusa. Jeśli chciał, by przebudowa się powiodła, powinien być ostrożny.

Zadzwoił do Jasona, młodego rzutkiego budowlańca, z którym świetnie mu się współpracowało, i poprosił, by spotkał się z nim w domu O'Brianów.

- Rano nie ma mowy - stanowczo rzekł Jason.
- To musi być rano - podobnym tonem odparł Rick.
- Skąd taki pośpiech?
- Bo to już ciągnie się za długo. Poza tym chcę poznać cię z szefem budowy.

Na wspólnych przedsięwzięciach zarobili pokaźne sumy. Rick nie musiał mu o tym przypominać.

- W takim razie coś wykombinuję i przyjadę.

Jednak kiedy Rick zjawił się w posiadłości O'Brianów, przed domem stał tylko smart Lindy.

Rick zebrał siły, wyjął papiery przygotowane dla Lindy i ruszył do szerokich schodów.

Miał niepokojące przeczucie, że oto zmierza ku swej przyszłości.

Linda krążyła po pustym domu. Wczoraj wydał się jej piękny i bardzo obiecujący, jednak teraz z każdym kolejnym pomieszczeniem jej entuzjazm słabł. Może porwała się z motyką na słońce, wzięła na siebie więcej, niż zdoła unieść? Tak jak wczoraj przesadziła z ciasteczkami.

Zarumieniła się na to wspomnienie.

Całowali się w Rickiem.

Czemu aż tak się tym przejmuję? To przecież nawet nie był prawdziwy pocałunek, ledwie muśnięcie. Lecz choć trwało mgnienie, w niej coś się obudziło.

Czyżby to była nadzieja? Nadzieja, że w jej życiu pojawi się mężczyzna i znów będzie mogła komuś zaufać?

Jednak Rick nie był z nią szczery. Nie powiedział, dlaczego do niej przyjechał. Czy na takiej podstawie można coś budować?

- Nie zamierzam niczego budować. - Jej głos odbił się echem od pustych ścian.

Rick nawet nie tyle ją okłamał, co ukrył prawdziwe powody. Pomiął milczeniem fakt, że Bobbi do niego dzwoniła. Córka sprowokowała go do wizyty. Inaczej wcale by o niej nie pomyślał, tym bardziej nie zleciłby jej tego remontu. Powinna poczuć się urażona!

- Powinnam go walnąć! - krzyknęła. - I tak zrobię, gdy tylko go zobaczę!

Nie była porywcza z natury, nie działała na oślepienie, choć z drugiej strony nadal niewiele o sobie wiedziała, dopiero powoli poznawała siebie. Kto wie, może należy do kobiet, które z premedytacją wymierzają siarczyste policzki?

Zachichotała na tę myśl. No nie, ma trzydzieści osiem lat, a chichocze jak mała dziewczynka!

Od wczoraj jest inną osobą. To ten cholerny pocałunek tak bardzo namieszał. I to dlatego tak łagodnie potraktowała Ricka.

- Skoncentruj się - nakazała sobie.

Ostatnio coraz częściej gadała do siebie, a to więcej o niej mówiło, niż gdyby wymierzyła komuś policzek! Coraz mocniej przygniatała ją samotność i coraz bardziej dziwaczała. Nic dziwnego, że tak szybko znalazła wspólny język z Mildred!

Z notesem w ręku przemierzała kolejne pomieszczenia. Czekał ją ogrom pracy, znacznie więcej niż przypuszczała. Trzeba przerobić instalację elektryczną, ogrzewanie, poprawić izolację, usunąć niektóre ściany, wygipsować sufity, wstawić nowe szafki, naprawić okna, niektóre z nich wymienić, wycyklinować, naprawić i polakierować podłogi, wyburzyć okropną dobudowaną werandę. Lista prac ciągle rosła, lecz Linda paradoksalnie coraz bardziej zapalała się do tego projektu. Doprowadzić ten dom do dawnej świetności to prawdziwe wyzwanie.

- Lindo?

Znieruchomiała. Nie była pewna, czy chce go teraz zobaczyć. Najchętniej schowałaby się w tej pustej szafie i siedziała cicho jak myszka. A jeszcze przed chwilą zastanawiała się, czy mu nie przyłożyć! Jak to o niej świadczy? Choć, prawdę mówiąc, wcale nie chciała go uderzyć. Przeciwnie, musiała się pilnować, by nie zerkać na jego usta!

- Tu jestem! - zawołała, obciągając spódniczkę. Żałowała, że włożyła ten stonowany szary kostium i buty na płaskim obcasie. Taki strój nie pasuje do kobiety targanej gwałtownymi emocjami. Raczej do takiej, która chowa się w szafie.

Słyszała, jak idzie po schodach, przesadzając po dwa stopnie na raz. Energia go rozpierała.

Tylko nie patrz na jego usta! - przykazała sobie w duchu.

Wszedł do niewielkiej sypialni na tyle domu.

Od razu popatrzyła na jego usta! Pełne i seksowne, kojarzące się ze smakiem czekolady...

- Dzień dobry - powitała go oficjalnie.

- Cześć, Lindo.

Męski głos o głębokim, zmysłowym brzmieniu.

Przestań! - zbesztła się.

Rick miał na sobie doskonale skrojony granatowy garnitur w delikatne prążki, białą koszulę i granatowy, wzorzysty krawat. Wyglądał jak z obrazka. Gdyby nie ten sterczący na czubku głowy kogucik.

- Zapomniałem...



- Jakie masz zdanie na...

Odezwali się jednocześnie i wybuchnęli śmiechem. Linda opuściła wzrok na pantofle, po chwili podniosła oczy.

Rick wpatrywał się w jej usta!

Już nie pamiętała, że chciała go uderzyć. Nawet gdyby ją znowu pocałował!

- Miałem zostawić ci te papiery - rzekł.

Naprawdę powinno być zabronione, by ktoś miał takie zielone oczy, urzekające i kuszące jak chłodne leśne jezioro w gorący letni dzień.

Wzięła od niego teczkę, ich palce się dotknęły. Co się z nią dzieje, że on tak na nią działa? Przecież to Rick. Rick, który wczoraj ją pocałował i od tej pory już nic nie jest takie, jak było.

- Dzięki. - Chciała sprowadzić tę rozmowę na czysto biznesowe tory, dlatego mówiła oficjalnym tonem. - Podoba mi się ten pokój. Ma w sobie wielki potencjał.

- Mnie też się podoba, ale jest bardzo mały.

- Dlatego pomyślałam, żeby wyburzyć ścianę i połączyć go z drugim. - Zerknęła do notatek.

- Jestem za. Wiesz, wpadłem, bo miałem ci wczoraj zostawić namiary na wykonawców, a w końcu zabrałem te wszystkie materiały z sobą.

No tak, to dlatego przyjechał. Chodzi mu tylko o pracę, o tym pocałunku już dawno zapomniał. Popatrzyła na niego. Nadal spoglądał na jej usta.

Przesunął wzrok w bok, podszedł do okna.

- Ładny widok - zagadnął.

- Prawda? Wychodzi na ogród za domem. Mieszkasz w środku miasta, a masz poczucie pełnej prywatności. Pomyślałam, że to pomieszczenie świetnie się nadaje na odlotowy pokój kąpielowy. Trzeba wstawić większe okno, dodać szpanerską wannę, zainstalować szerokie drzwi do głównej sypialni.

Uff. Nawet nie chciała myśleć o głównej sypialni i sytuacjach, jakie się w niej zdarzają. W każdym razie nie chciała myśleć o tym przy Ricku. Jednak już to zrobiła. Oczami wyobraźni widziała te drzwi otwierające się na romantycznie urządzone wnętrze. Ciemna podłoga z szerokich desek, miękki dywan, łoże z baldachimem, a w łączącej się z sypialnią łazience wanna wypełniona gorącą perfumowaną wodą i świece...

Łoża z baldachimem nie powinny jej ani trochę obchodzić! Ani wanny z pachnącą wodą i pięknie pachnącymi świecami.

- Pokoje kąpielowe są na topie - pochwalił ją Rick. - To zachęta dla klientów zainteresowanych drogimi rezydencjami, takimi jak ta. Na tej ulotce jest zdjęcie takiej łazienki. - Wziął jeden z folderów i podszedł do Lindy, by razem z nią obejrzyć zdjęcie.

- Rewelacja - wyszeptała.

Wnętrze na zdjęciu bardziej przypominało luksusowe spa niż łazienkę. Widoczna na pierwszy rzut oka zmysłowość przebijała wcześniejsze wyobrażenia Lindy: marmurowa posadzka, przytłumione światło, złote baterie, zachwycające linią dwie

umywalki, podgrzewacz do ręczników. Jednak największą uwagę przykuwała stojąca na środku pomieszczenia ogromna wanna na nóżkach w kształcie lwich łap. Wanna dla dwojga.

Poczuła dojmującą tęsknotę. Chyba nie pochyliła się ku Rickowi? Ani on ku niej?

- Rick? Jesteś tu?

Chyba jednak pochylili się ku sobie, bo na te słowa odskoczyli od siebie!

- To Jason. Ściągnąłem go, żeby cię z nim poznać. To najlepszy fachowiec w branży, a im wcześniej uda się rozpocząć prace, tym lepiej.

- Też tak uważam.

Muskularny młodzieniec z głową w jasnych loczkach wpadł do pokoju

- To Linda Starr, będzie kierować remontem - przedstawił ją Rick.

- Och, super! Nic nie mówiłeś, że to będzie dziewczyna - ucieszył się Jason.

- Kobieta - poprawił go Rick, może nieco zbyt cierpko. Linda zerknęła na niego z ukosa.

Rozpoczęli obchód domu. Jason okazał się wyjątkowym ekstrawertykiem, człowiekiem miłym i pełnym czaru. Z uwagą przysłuchiwał się propozycjom i wstępnym pomysłom Lindy. Był uroczy, a jednocześnie widać było, że świetnie się zna na swoim fachu.

Choć wykonywał różne prace budowlane, nad wszystko przedkładał restaurację starych domów. Błyskawicznie zjednął sobie Lindę, a ona poniewczasie zdała sobie sprawę, że właśnie robi coś, czego córki nie mogą darować matkom: zastanawia się, czy Bobbi przypadłaby Jasonowi do gustu. Mimochodem rzuciła kilka osobistych pytań, a on chętnie odpowiadał, spoważniał jednak, gdy zagadnęła go o plany na przyszłość. Odparł, że chciałby znaleźć dobrą dziewczynę, założyć rodzinę, mieć pieska.

Linda nie mogła się nie uśmiechnąć. Marzy o szczeniaczka! Poważny budowlaniec, a w gruncie rzeczy to jeszcze wielki dzieciak! Rick, który przysłuchiwał się ich rozmowie, posepniał coraz bardziej. Czyżby uważał, że posunęła się za daleko? Że flirtuje z Jasonem? No nie! Ten niewinny pocałunek to jeszcze nie kościelna przysięga! Poza tym czyżby nie widział, że to tylko zabawne przekomarzania?! Jason był co najmniej dwanaście lat od niej młodszy.

- Halo!

Rick zamknął oczy i jęknął.

- Nadchodzi zły duch tego domu. - Ujął Lindę za łokieć. - Pojedźmy obejrzyć wyposażenie sypialni i łazienek. Niedawno otworzyli nowy sklep, sporo tam kupujemy.

Zaskoczył ją. Nie przypuszczała, że Rick zechce towarzyszyć jej w wybieraniu sprzętów. Zwłaszcza wanny! Wszystko, tylko nie wanna!

Gdy zeszli na dół, Mildred niecierpliwie na nich czekała. Rickowi posłała ostre spojrzenie, zaś Lindę obdarzyła uśmiechem.

- Właśnie wychodzimy - oznajmił Rick.

Jason zszedł za nimi, otworzył drzwi.

- Może dasz mi swój numer? - z miłym uśmiechem zapytała Linda, udając, że nie widzi miny Ricka. - Jason, nie mogę się doczekać, kiedy ruszą prace. Co na to twój terminarz?

- Pasuje ci jutro skoro świt?

- Super! Lepiej być nie może.

Rick otworzył drzwi samochodu. Po jego sztywnej postawie widziała, że jest bardzo spięty.

- Czemu tak wnerwia cię ta biedna kobieta?

- Kto? A, masz na myśli Mildred.

- Właśnie. - Więc to nie spadkobierczyni O'Brianów tak go rozdrażniła...

- Przypomina mi moją byłą żonę - rzekł po dłuższej chwili.

- Kogo, Kathy? - Gdy roześmiała się, Rick jeszcze bardziej spochmurniał. - Kathy to ślicznotka, a Mildred jest wiekową damą.

Spojrzał na nią ponuro.

- Nie mam zwyczaju rozmawiać o mojej byłej żonie.

- Hm... Myślę, że powinieneś...

- A co to pomoże? - przerwał jej ostro.

- Może przez to poczujesz się lepiej.

- Nie czułem się źle... aż do teraz!

- Jeśli Mildred kojarzy ci się z Kathy, to znak, że jednak coś cię gryzie.

- Wcale nie!

- W porządku.

Zapadła cisza. Twarz Ricka zastygła. Ruszył ostro.

- Nie mogę się pogodzić, że moje małżeństwo się rozpadło - powiedział. - To wciąż tkwi we mnie jak zadra. Traktowałem je bardzo poważnie, lecz poniosłem klęskę. Największą w moim życiu.

- Wiem - powiedziała cicho.

- Wiesz?

- Zawsze wiedziałam, że tak to odbierasz. Jakby to była twoja wina.

- Bo była. Powinienem był bardziej się postarać, nie dopuścić, by to się stało.

- Kathy była cudowną, piękną dziewczyną - zaczęła ostrożnie - ale... zanadto skupiała się na sobie i stawiała wciąż nowe i niemożliwe do spełnienia żądania.

Westchnął ciężko jak człowiek przytłoczony tajemnicą.

- Musiała nad wszystkim mieć nadzór. Nieważne, co bym zrobił, zawsze było za mało albo nie tak. - Popatrzył na Lindę, uśmiechnął się blado. - Tak jak Mildred Housewell.

- No tak. - Też się uśmiechnęła.

- Lindo, czy ty masz jakiś dar? - zapytał miękko. - Doprowadzasz ludzi do takiego stanu, że omal nie rozpadają się w drobny mak, a wychodzą oczyszczeni, w nieporównywalnie lepszej formie.

- Nie gadaj głupstw. - Wyraźnie się stropiła. - Nie mam żadnego daru.

- Akurat... Nie potrafisz zauroczyć mężczyzny za pomocą czekoladowych ciasteczek? Albo właściwym słowem wypowiedzianym w odpowiedniej chwili?

- Nie!

- A twój uśmiech? Nie czarujesz nim facetów?

- Bredzisz.

- Tak? Może zapytamy o to Jasona?

- Jasona?

- Zawojowałaś go. - Gdy wybuchnęła śmiechem, dodał: - Swego czaru użyłaś w dobrym celu. Tak omotałaś Jasona, że zgodził się jutro zacząć. Gdybym ja go prosił, może by znalazł czas w przyszłym miesiącu.

- Wcale go nie omotałam!

- Lindo, posłuchaj mnie. Przez dwadzieścia lat byłaś mężatką i w tym czasie wiele się zmieniło. Nie wiesz, jacy teraz są ci młodzi faceci.

Zaśmiała się pełną piersią. Nie mogła się powstrzymać.

- Czy dobrze rozumiem, że chcesz mnie ustrzec przed niebezpieczeństwami dzisiejszego świata?

- Owszem - odparł tak żarliwie, że przeszył ją dreszcz.

- Nie musisz tego robić.

- Jason cię podrywał, a ty go jeszcze do tego zachęcałaś! -

Zaczął naśladować jej głos: - Jak sądzisz, Jason, co przyniesie ci los?

- Chcesz usłyszeć prawdę?

- Oczywiście!

- Uważam, że Jason to bardzo atrakcyjny młody człowiek.

- Wiedziałem - prychnął.

- I chciałam zorientować się, czy nie poznać go z Bobbi, gdy przyjedzie na Święto Dziękczynienia. Muszę być ostrożna, bo Bobbi nie znosi takich zagrywek. Wiem, nie powinnam się wtrącać w jej życie, ale gdybyś zobaczył jej ostatniego chłopaka, tobyś mnie zrozumiał. On grał na bębenkach bongo!

- Chcesz go poznać z Bobbi? - W jego głosie zabrzmiało szczere zdumienie.

- Rick! Nie interesują mnie tacy młodzieńcy jak Jason. Czy ty zwariowałeś?

- Pewnie tak... - Uśmiechnął się przepaszająco.

Po chwili podjechali pod elegancki budynek, w którym mieścił się salon z wyposażeniem wewnątrz.

Linda nabrała powietrza. No to teraz musi się trzymać.

Oglądanie z Rickiem takich rzeczy będzie ją wiele kosztowało. I choć lękała się tego, to jednocześnie nie mogła już się doczekać.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Rzadko czuł się nieswojo, lecz otwierając przed Lindą drzwi salonu, miał mieszane uczucia.

Czyżby był zazdrosny o Jasona? Nie, na pewno nie. Czuł się odpowiedzialny za Lindę, to wszystko. Odsunęła się trochę od świata i nie miała pojęcia o czyhających na nią zagrożeniach. Musi delikatnie wprowadzić ją w dzisiejsze realia, przestrzec przed konkretnymi niebezpieczeństwami. Przed facetami polującymi na szybki seks bez zobowiązań, przed pułapkami, jakie czają się na każdym kroku, przed kontaktami nawiązanymi przez internet. Sam też niewiele o tym wiedział, aż któregoś razu, gdy kiepsko się czuł i nie poszedł do pracy, obejrzał kilku programów w telewizji. Z drugiej jednak strony wzdragął się przed wyjaśnianiem tych spraw Lindzie. Cóż, na to się z Bobbi nie umawiał.

Udało mu się wyciągnąć Lindę z domu, lecz nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji, jakie dla niego wynikną. Jak daleko może się posunąć, wprowadzając ją w dzisiejszą rzeczywistość?

Nie chciał wejść w rolę zrzędlivego mentora. Pragnął dla Lindy jak najlepiej, chciał ją chronić, ale nie kontrolować. Lecz gdzie są granice?

Wybieranie wanny na pewno nie jest krokiem w dobrym kierunku!

Lubił ten sklep. Mieli tu wszystko, czego dusza zapagnie. Ogromny wybór i doskonała jakość. Jednak dzisiaj patrzył na

wystawiony towar innym okiem. Gustowne sprzęty, oświetlenie, akcesoria i zapachy - to wszystko odwoływało się do zmysłów i emocji.

- O mój Boże! - z emfazą wyszeptała Linda. - Jak tu romantycznie! Właśnie taki klimat chcemy uzyskać w głównej sypialni, prawda?

Romantyczne klimaty, właściwa atmosfera...

Poczuł na czole kropelki potu.

- Och, popatrz na tę wannę na nóżkach. - Podeszła do eleganckiej wanny z białej porcelany.

Rick podążył za nią.

Nie była to tradycyjna wanna, bo choć przypominała ją kształtem, to zamiast na lwich łapach stała na postumencie z ciemnego drewna. Z tego samego drewna miała wykończoną mosiądzem poręcz, a mosiężna stylowa bateria była zainstalowana nie na końcu, lecz na bocznej ścianie.

- Wspaniale pasuje do charakteru domu, nie uważasz?

- Tak, oczywiście.

- Tu jest podane, że to wanna dwuosobowa - powiedziała z lekkim niedowierzaniem.

Poczuł suchość w gardle. No nie! Nie chciał zastanawiać się, na ile osób jest przewidziana ta wanna. Nie teraz, gdy Linda stała tuż obok niego. Tak jak nie chciał myśleć o romantycznych klimatach.

- Nie mają tu klimatyzacji? - spytał, rozluźniając kołnierzyk koszuli.

- Nie wydaje mi się, by dwóm osobom było w niej wygodnie.

Linda, którą pamiętał sprzed lat, zawsze koncentrowała się na konkretach, podobnie było teraz. Mówiąc o tej wannie, nie ich miała na myśli, lecz przyszłych nabywców domu.

Obeszła wannę, zmarszczyła brwi. Rick nerwowo rozejrzał się po salonie. Czy nie mają tu choćby wentylatora?

Nagle ściągnęła pantofle, weszła do wanny, usiadła, a po chwili się położyła. Przytrzymała rękami spódniczkę, jednak tkanina powędrowała nieco w górę, odsłaniając kawałek zgrabnych ud. Rick przeraził się, że zaraz zapłonie.

Popatrzyła na niego, zupełnie nieświadoma, jak ta sytuacja na niego działa. Poruszyła palcami stóp, rozłożyła ramiona, badając szerokość wanny. Coś jej nie pasowało.

- Wchodź - poleciała.

- Słucham? - Ledwie to z siebie wykrztusił.

Nawet tego nie zauważyła, tylko wyciągała nogi, starając się dotknąć końca wanny. Nie patrzyła na Ricka.

- Na długość wystarczy - stwierdziła. - Mam tylko wątpliwości co do szerokości. Musimy to sprawdzić, więc wskakuj do środka.

- No dobrze, ale... przecież ty tam jesteś.

- No właśnie! Chcę zobaczyć, czy dwie osoby swobodnie się zmieszczą.

- Hm, tak... ale... - Gorączkowo szukał jakiegoś wyjścia. Za nic jej nie usłucha!

- Niemożliwe, by w tej wannie zmieściły się dwie dorosłe osoby  
- stwierdziła Linda.

Wierzył jej na słowo! Nie musiał tego sprawdzać.

- No wchodź! - popędziła go.

Jeśli będzie robić z tego problem, to Linda zacznie się czegoś domyślać. Już i tak brakowało mu powietrza, a myśli uciekały w zakazane rejony. Właśnie dlatego musiał uzmysłowić jej zagrożenia, jakie na nią czyhają. Nie powinna zachowywać się w taki sposób! A gdyby na jego miejscu był Jason? Zapraszanie mężczyzny do wanny ma oczywistą wymowę i każdy facet odczyta to jednoznacznie.

Patrzył na Lindę w skromnym szarym kostiumie z leciutko podciągniętą spódniczką. Przez rajstopy prześwitywały zgrabne palce stóp i pomalowane różowym lakierem paznokcie. Wyglądały jak słodkie żelki. Pewnie dobrała kolor do tej swojej choleralnej piżamki!

Rozejrzał się po sklepie. Klientów prawie nie było. Jeśli będzie się dłużej ociągać, Linda nabierze podejrzeń. Wmawiając sobie, że dbałość o szczegóły służy przyszłemu zyskowi, ściągnął buty i wszedł do wanny.

Linda poklepała wolne miejsce.

- Tutaj. Jeśli ludzie kupują podwójną wannę, to chcą leżeć w niej obok siebie, czyż nie?

- Nie mam pojęcia... - Zamierzał usiąść obok Lindy, lecz poślizgnął się na gładkiej powierzchni i grzmotnął o dno.

- Uch! - współczująco powiedziała Linda.

- Przepraszam.

Chciał się przesunąć, lecz miejsca było za mało. Linda już pewnie czuła buchające od niego gorąco.

- Tak jak myślałam - rzekła nieświadoma, co się z nim dzieje. - Jest za mała. Wprawdzie jesteśmy ubrani, a normalnie... - Urwała. Słyszał po jej głosie, że jest spięta, jednak starała się mówić spokojnie. - No dobrze, Rick, spróbuj teraz ułożyć się odwrotnie.

Litości!

Poruszył się, jednak nic to nie dało. Wanna była głębsza, niż wyglądała, i o wiele za wąska.

- Chyba się zaklinowałem - wymamrotał.

- No co ty! - Udało się jej uwolnić jedną rękę. Popchnęła go lekko, ale zrobiło się jeszcze gorzej. Jego skarpetki ślizgały się po porcelanie, nie mógł się zaprzeć.

Linda powierciła się, by jakoś mu pomóc.

Co wcale nie pomogło.

Przez chwilę trwała nieruchomo, rozważając coś w duchu. Nagle zanosła się perlistym śmiechem. Zrobiło mu się cieplej na sercu, poczuł się mniej skrepowany. Jej biodro gniotło go w bok, przyciskali się ramionami, owiewał go zapach jej włosów.

- Przekręćmy się - zarządził, przejmując inicjatywę, póki jeszcze sytuacja nie wymknęła mu się spod kontroli. - Powinno być lepiej.

Raz, dwa, trzy!

Leżeli teraz twarzami do siebie. Czuł miękkość jej piersi przyciśniętych do jego torsu. Już przedtem byli w pułapce, ale teraz wpadli na amen.

Ich spojrzenia się spotkały. Wesołe iskierki w oczach Lindy zgasły, pojawiło się w nich coś innego, palącego. Zwilżyła językiem usta i ten gest wydał mu się tak zmysłowy jak pieszczota. Pamiętał smak jej warg... Teraz, gdy leżeli tuż przy sobie, wszystko odpłynęło w dal: światła, sklep, dźwięki. Wszystko poza nią.

Wyciągnęła rękę, a on wstrzymał oddech, myśląc, że zamierza dotknąć jego twarzy, lecz Linda tylko przyglądała niesforny kogucik, z którym od małego nie mógł sobie poradzić ani on, ani jego mama. Odetchnął spokojniej.

- Och - wyszeptała, szeroko otwierając oczy. Znieruchomiała, na jej policzkach wykwitły rumieńce. Poruszyła się, chcąc się wydostać, lecz jeszcze bardziej się zaklinowała.

- Wyciągnij mnie stąd.

- Dobrze, tylko spokojnie. Nie wpadaj w panikę.

- Wcale nie panikuję!

Poczuł, że serce znowu zabiło jej szybciej

Nad wanną ujrzeli zdumioną twarz sprzedawcy.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał niepewnie.

- To nie jest wanna na dwie osoby - oznajmiła Linda, siląc się na spokój, choć policzki ją paliły. - A tak jest tu podane.

- Może pochodzi z kraju, w którym ludzie są drobniejsi - odparł taktownie sprzedawca. - Albo w którym kąpią się bez ubrania...

Gdy Rick posłał mu ostrzegawcze spojrzenie, natychmiast umilkł.

Oswobodziła rękę i podała mu dłoń z godnością gwiazdy wysiadającej z limuzyny. Sprzedawca pociągnął, lecz nie od razu udało mu się uwolnić zakleszczoną w wannie Lindę.

Rick zachował się jak dżentelmen, bo zamknął oczy, gdy przestępowała brzeg wanny. Po chwili i on z niej wyszedł.

- Nowożeńcy? - domyślnie zapytał sprzedawca.

Linda zaczerwieniła się jeszcze bardziej i skupiła się na wygładzaniu spódniczki.

Uwadze Ricka nie uszła aprobująca mina sprzedawcy zerkającego na zgrabne nogi Lindy. Posłał mu mordercze spojrzenie.

- Wspólnicy - rzekł z naciskiem, wręczając mu firmową wizytówkę, by odciągnąć go od podziwiania Lindy zakładającej buty.

Sprzedawca spojrział na wizytówkę i jego stosunek od razu się zmienił.

- Jestem Mercer Mainland. Ten model mamy również w większym rozmiarze.

- Znacznie większym? - zainteresowała się Linda.

- Zaraz przyniosę opis. - Szybko odszedł.

Rick włożył buty, Linda zaczęła oglądać inne łazienki. Trzymał się z dala od niej, bojąc się, że każe mu testować kolejne modele.

- Ta jest zbyt nowoczesna - stwierdziła, wskazując na wielką wannę z wieloma dyszami. - Nie pasuje charakterem.

Dziękował Bogu, że ta wanna nie wzbudziła jej zainteresowania, choć na pierwszy rzut oka było widać, że była przeznaczona dla dwóch, a nawet więcej osób. Linda nie ma pojęcia, do czego ludzie

dzisiaj się posuwają. Pewnie nie słyszała o imprezach w wannie. A gdyby przypadkiem trafiła na takie przyjęcie?

Przybycie Mercera wybiło go z obmyślania planów, jak ustrzec ją przez takimi imprezami, bo pojawiło się nowe niebezpieczeństwo - Mercer wyraźnie był pod urokiem Lindy.

Miał cichą nadzieję, że Linda jest tego świadoma. Chyba dlatego tak szybko wybrała pozostałe sprzęty: umywalkę, kabinę prysznicową, sedes, podgrzewacz ręczników. Rachunek został wystawiony na agencję, a mimo to Mercer znalazł sposób, by wcisnąć Lindzie swą wizytówkę.

- Czyż to nie urocze z jego strony? - unosiła się, gdy szła do samochodu obładowana białymi ręcznikami kąpielowymi, czyli gratisami od Mercera.

- Tak, urocze... - Nie przypominał sobie, by choć raz dostał jeden taki ręcznik.

- Na odwrocie podał mi swój prywatny numer, w razie gdybym chciała go złapać po godzinach.

- Urocze - powtórzył przez zaciśnięte usta. Urocze? To tylko znaczy, że jego nadzieje były płonne. Nie zorientowała się w intencjach Mercera. Ta wizytówka to było zaproszenie na wspólną kąpiel. Popatrzył na Lindę. Ona naprawdę nic nie podejrzewała. Czyli jej edukacja spada na niego.

Od czego powinien zacząć? Na pewno nie wolno mu jej pouczać, robić wykładu, tylko w delikatny i taktowny sposób przekazać swoją wiedzę zdobytą przez lata. Wyjaśnić, o czym



naprawdę myślą faceci. I co kryje się za tą wizytówką z prywatnym numerem Mercera.

Jęknął.

- Dobrze się czujesz?

- Tak.

- Chętnie obejrzałabym podłogi, ale mogę to zrobić sama.

Podrzucić mnie tylko do mojego samochodu.

Chce sama wybierać podłogi? Niedoczekanie! Kto wie, co jej tam przyjdzie do głowy! Zacznie je po swojemu testować, a wszędzie roi się od różnych Mercerów i Jasonów! Nie zdążył jej wyjaśnić, czego ci faceci naprawdę chcą. Posmakować jej ust i wspólnie skorzystać z wanny... z kuchennego stołu... z miękkiego dywanu w salonie... z łóżka.

Tak jak on.

Zdawał sobie sprawę, że staje się śmieszny. Popatrzył na zegarek. Opuścił dwa umówione spotkania. Coś, co mu się nigdy nie zdarzało! Prowadził uporządkowane życie - i nagle coś takiego! Powinien wziąć to sobie do serca, uznać za znak ostrzegawczy. Ochłonąć, zastanowić się, do czego zmierza i na czym mu zależy.

Zamiast tego usłyszał swój głos:

- Pojadę z tobą obejrzyć podłogi. Nie mam dziś wielu zajęć.

- Świetnie - ucieszyła się.

Miał świętą rację, nie puszczając jej samej. Linda z miejsca zawojowała Eda, dobrego znajomego Ricka, który odzyskiwał stare

dechy. Co z tego, że przekroczył siedemdziesiątkę? Nadal był mężczyzną.

Pod koniec dnia czuł się wykończony, za to Linda promieniała. Oczy jej błyszczały, gdy z ożywieniem opowiadała o „jej” wannie i wybranych podłogach.

Podrzucił ją pod dom O'Brianów.

- Dzięki, Rick. Co za wspaniały dzień!

Był wspaniały. Wyczerpujący i wspaniały. Tylko musi otworzyć jej oczy na tyle rzeczy, że na samą myśl o tym opuszczały go siły.

- Miałabyś ochotę w sobotę przejechać się ze mną motorem? - zagadnął od niechcienia. Ten pomysł dawał mu wiele możliwości. Mogliby gdzieś zatrzymać się na kawę czy zwiedzanie, a wtedy miałby okazję przekazać jej trochę informacji, ostrzec przed pułapkami zastawianymi na kobiety.

Przez długą chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu. I nagle na jej twarzy pojawił się śliczny uśmiech. Leciutki, z odrobiną obawy.

Ten uśmiech umocnił go w jego postanowieniu. Właśnie dlatego musi ją oświecić. Linda znów wkracza w świat i boi się tego. I dobrze. Bo świat jest pełen krwiożerczych wilków. I żmij.

- Z przyjemnością. W co mam się ubrać?

Naraz ogarnęło go straszne przeczucie, że Linda w czarnej skórze okaże się jeszcze bardziej niebezpieczna niż Linda w wannie.

Czego to człowiek nie robi w imię obowiązku!

- Znajdę ci coś odpowiedniego - obiecał.

Jeszcze raz sprawdziła adres, zaparkowała i wysiadła. Elegancki kompleks szeregowców, w którym mieścił się apartament Ricka, robił wrażenie. Ściany z czerwonej cegły, duże okna z białymi żaluzjami, alejka wiodąca do rzeźbionych drewnianych drzwi. Wszystko solidne i wyraziste w stylu. Pasujące do Ricka.

Nie widziała go od czasu, kiedy wybierali wyposażenie do remontowanej rezydencji. Oczywiście, rozmawiała z nim przez telefon, by uzgodnić szczegóły i skonsultować swoje decyzje.

Dom O'Brianów fascynował ją i z każdym dniem coraz bardziej się do niego przywiązywała. Kojarzył się jej ze starszą panią, bo był równie kapryśny i trudny, lecz praca ją uskrzydlała. Każdego ranka cieszyła się, że znowu tam jedzie, że ma zajęcie. Nie jakieś tam zajęcie, lecz pracę, za którą przepada. Nie mogła pojąć, dlaczego tak długo trzymała się na uboczu, nie wciągnęła się w jakieś działanie. I była, choć z mieszanymi uczuciami, wdzięczna Bobbi, że zainspirowała tę zmianę. A dzisiaj ta nowa, lepsza Linda wybierze się na swą pierwszą w życiu przejażdżkę motorem.

Rick musiał jej wypatrywać, bo od razu otworzył drzwi. Był w białym T-shircie i džinsach, na których miał czarne skórzane ochraniacze. Ten strój, tak kłóący się z nieskazitelnym obrazem biznesmena, nieco zaburzał jego obraz, wyjawiał ukryte strony osobowości. Osłonięte ochraniaczami nogi wydawały się jeszcze dłuższe i mocniejsze, tylko na głowie wciąż sterczał ten kogucik. Aż ją korciło, by go przygładzić, znów poczuć pod palcami miękkie, sprężyste pasemko.

Zatrzymała się i popatrzyła na Ricka. Pamiętała dotyk jego ust i muskularne ciało przyciśnięte mocno do jej ciała, gdy oboje leżeli zaklinowani w wannie.

- To nie jest żadna randka, co? - wypaliła wprost. Roześmiał się.

- Jeśli masz się czuć skrępowana, to nie. Zresztą... - ściszył głos, pochylił się ku niej - jak już raz znajdziesz się z kimś w wannie, to skrępowanie mija. Chcesz obejrzeć moje mieszkanie czy jedziemy?

Jasne, że była ciekawa, jak Rick mieszka, z czystej kobiecej ciekawości. Apartament był w jego stylu, urządzony ze smakiem, zadbany, wszystko starannie dobrane. Uderzyły ją pamiątki z licznych podróży.

- Ja wycierałam dzieciakom nosy i angażowałam się w szkolne problemy, a ty w tym czasie zwiedzałeś Afrykę - zauważyła, przesuwając palcami po rzeźbionej w drewnie żyrafie idealnie komponującej się ze skórzaną kanapą. Położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie jest tak, że któryś wybór jest lepszy czy gorszy. Są inne, to wszystko. Wiesz, ile razy patrzyłem na twoje życie i żałowałem, że moje takie nie jest?

- Na przykład kiedy? - prychnęła.

- Na przykład, gdy zapraszałaś mnie na Boże Narodzenie, kiedy już byłem po rozwodzie. Po cichu marzyłem, że to ja ubieram choinkę czy składam trójkołowy rowerek

- Mówisz serio?

- Tak.

Popatrzyła mu prosto w oczy. Mówił szczerze. Jej męża nigdy nie cieszyły takie zwyczajne rzeczy. Małżeństwo było dla niego więzieniem, a rodzinne obowiązki traktował jak ograniczenie wolności. Nie chciała jednak wracać do tamtych lat. Nastąpiła pora, by śmiało wejść w nowe życie.

- Znalazłem strój dla ciebie. Możesz się przebrać w dolnej łazience. Nie ma tam wanny, więc nic cię nie skusi do testowania. Jak będziesz gotowa, to ruszamy.

Musiała go za to szturchnąć w ramię. Rick uśmiechnął się i dzielące ich różnice znów stały się nieistotne.

Jeśli liczyła, że w czarnej skórze będzie wyglądać seksownie, to bardzo się rozczarowała. Strój był trochę za duży, choć uszyty dla kobiety. Czy Rick już wcześniej zapraszał kogoś na przejażdżki motorem? Na pewno tak. I chyba nadal to robi. Ale co ją to obchodzi? To jego życie. Może powinna zadać sobie te pytania, nim do niego przyszła? Bo czym to się zakończy? Jakie on ma intencje? A jakie ona?

Popatrzyła na swoje odbicie i zreflektowała się. Czym się tak przejmowała? Dlaczego, zamiast dobrze się bawić, zawsze musi wszystko analizować? Zastanawiać się, czy przypadkiem nie skończy się to złamanym sercem?

Czy Rick mógłby złamać jej serce?

- Nie ma szans - mruknęła. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi, którzy chcą razem spędzić dzień.

Jednak gdy wyszła z łazienki, w jej oczach było coś więcej.

- Pięknie wyglądasz - rzekł Rick.

- Rick, daj spokój. - Nie tak wyglądają rozmowy między starymi kumplami.

- Czemu tak krzywo na mnie patrzysz?

- Bo nie chcę, by nasze relacje się skomplikowały - powiedziała cicho.

- Zgoda - rzucił lekko. - Żadnych wanien, ciasteczek i buziaków.

- Super - potaknęła, lecz z mniejszym przekonaniem, niż chciała.

Pomógł jej włożyć kask i poszli do garażu. Po chwili po raz pierwszy w życiu siedziała na motorze, z całej siły trzymając się Ricka. Nie chciała komplikacji, lecz to, co działo się teraz, było nieporównywalnie trudniejsze od leżenia w wannie! Czuła każdy jego ruch, każde drgnienie mięśni.

Początkowy lęk szybko ją opuścił. Rick prowadził motor pewnie i spokojnie, płynnie zmieniając pasy i miękko wchodząc w zakręty. Było jej coraz bardziej przyjemnie. Instynktownie podążała za jego ruchami, przytulona do jego pleców, pochylała się wraz z nim. Co za cudowny relaks!

Czuła też, że Rick jest w doskonałej formie. Dopiero ta bliskość uświadomiła jej, jak bardzo brakuje jej dotyku męskiego ciała. W innej sytuacji poskromiłaby w sobie to pragnienie, lecz okoliczności były jak najbardziej sprzyjające. Mogła śmiało przytulić się do jego pleców, cieszyć się grą jego mięśni.

Dzień był wprost wymarzony na przejażdżkę. Słońce grzało przyjemnie, liście zaczynały przybierać jesienne barwy, trawa błyszczała w słońcu.

Rick zjechał z autostrady w boczną drogę wijącą się przez skaliste wąwozy i wzgórza. Mijali z rzadka rozrzucone rancza. Widzieli kowboi na koniach, na horyzoncie zamajaczyły dalekie szczyty Gór Skalistych.

Zjechał na pobocze, wyłączył silnik.

- Popatrz.

Wskazał wielkiego ptaka siedzącego na czubku wysokiego drzewa. Orzeł przedni, poznała. Widziała go w atlasie ptaków. Król przestworzy popatrzył na nich, rozłożył skrzydła i odfrunął. W milczącym zachwycie odprowadzali go wzrokiem.

- Jak ci się podoba? - zapytał Rick.

- Jest cudownie! Czuję się taka wolna, jakbym latała niczym ten orzeł.

- I nawet nie potrzebujesz spadochronu.

Znowu ruszyli przed siebie. Dojechali do autostrady i zrobili pętlę. Jechali teraz przez zagajniki, mijali wzgórza porośnięte świerkowym lasem, za którymi coraz wyraźniej jaśniały pokryte śniegiem szczyty. Droga zakrecała, prowadziła to w górę, to w dół, wreszcie drzewa zaczęły się przerzedzać i przed nimi rozpostarła się rozległa przestrzeń porośnięta trawą, poprzecinana wąwozami i rzekami. Mijali rancza z wielkimi drewnianymi bramami i stada dobrze utrzymanego bydła, potem coraz częściej zaczęły pojawiać się

pompy, którymi wydobywano ropę. Dojechali do niewielkiego miasteczka Longview i zatrzymali się przed barem.

Rick zamówił kawę i z hultajskim uśmiechem dołożył na tacę dwa wielkie czekoladowe ciasteczka.

- Miało nie być ciasteczek - strofowała go Linda, z rozkoszą wbijając zęby w słodki przysmak.

Popatrzyli na kolekcję sztuki indiańskiej, a potem rozsiedli się na miękkiej skórzanej kanapie.

- Muszę ci zdradzić, że zapraszając cię, miałem pewien ukryty motyw - zagał.

Miała nadzieję, że ten sam co ona. Choć ona swój dziś zmodyfikowała, uznając, że nie chce żadnych komplikacji. Popatrzyła na jego usta i szybko odwróciła wzrok.

- Chciałem się przekonać, czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy być wolną kobietą w dzisiejszych czasach.

- Może podasz jakiś przykład? - Patrzyła na niego z uśmiechem. Był tak urzekająco zmieszany!

- No więc... - Jeszcze bardziej się stropił, choć starał się mówić rzeczowo. - Na przykład czy wiesz, co to jest numerka na telefon?

Akurat w tym momencie odgryzła kawałek ciastka i omal się nim nie udławiła. Zakaszła, Rick klepnął ją po plecach. Podbiegła zaniepokojona kelnerka. Chyba zaraz umrze ze śmiechu! Cóż za wspaniały sposób zejścia z tego świata! Wypiła trochę wody, popatrzyła na Ricka.



- Rick, mam osiemnastoletnią córkę. Oczywiście, że wiem.

Pytanie tylko, skąd ty wiesz takie rzeczy?

- Oprah miała o tym program - wyznał z niesmakiem.

Roześmiała się w głos. Dobrze jej było z tym śmiechem.

Kiedy zniknął z jej życia? Wiedziała, ale nie chciała teraz o tym myśleć. Nie dzisiaj, kiedy jest z tym świetnym facetem, który ma błędne przeświadczenie, że musi chronić ją przed złem tego świata.

Udała, że niczego się nie domyśla. Położyła rękę na jego dłoni.

- Ale skąd ci przyszło do głowy takie pytanie?

- Pytanie jak pytanie - wycofał się. - Rozmawiamy.

- Nie zmyślaj.

- No dobrze... Martwię się o ciebie. Nie wiesz, jakie teraz jest życie. Młodzi faceci widzą w tobie atrakcyjną kobietę. Może się to dla ciebie... hm, różnie skończyć.

- Podobam się młodym facetom? - powtórzyła zdumiona.

- Na przykład Jasonowi.

- Jason mówi do mnie „mamuśka” - powiedziała łagodnie.

- Naprawdę?

- Bo w zeszłym tygodniu zawiozłam mu kanapkę i lemoniadę.

- Hm, nie miałem na myśli akurat Jasona. Chodzi mi o mężczyzn w ogólności. Wydaje mi się, że powinnaś wiedzieć, czego się spodziewać.

Dobrze, że przestała jeść ciastko, bo pewnie znowu by się zakrztusiła, tak bardzo starała się zdusić w sobie śmiech.

- Wiesz, to świetny pomysł - rzekła słodko. - To może wprowadzisz mnie we wszystko, co wiesz.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W zapadającym zmroku przyglądał się, jak samochodzik Lindy zręcznie zakręca przed jego domem. Pomachała mu na pożegnanie i odjechała.

Hm, z dzisiejszych planów nie wyszło za wiele. Zamierzał pogadać z Lindą na poważnie, przemówić jej do rozsądku, ostrzec przed czyhającymi na nią niebezpieczeństwami. Świat jest pełen pokrętnych i lubieżnych facetów, którzy tylko czekają na kogoś takiego jak ona. Bez mrugnięcia okiem zbałamuca ją i wykorzystają. Linda jest łakomym kąskiem, ma bowiem sute konto, wspaniałą urodę i urok. A różnych cwaniaków bez żadnych skrupułów nie brakuje. Będą jej kłamać w żywe oczy, a ona jest taka łatwowierna i zupełnie nie zna dzisiejszego świata. Miał jej to wszystko wyłożyć, lecz jakoś nie wyszło. Jej śmiech, dotyk jej ciała, gdy z całej siły przytrzymywała się go na motorze... to wszystko wybiło go z rytmu, rozproszyło. Zresztą, kto w takiej sytuacji zdołałby zachować rozsądek?

Pewnie się wygłupił, ale mimo wszystko uświadomił jej parę rzeczy. Numerek na telefon... no, o tym przynajmniej słyszała. Ale gdy wspomniał o „ryczącej czterdziestce”, oczy zrobiły się jej jak spodki.

- To taka kobieta, której podobają się młodszy faceci?

- Precyzyjnie ujmując, która poluje na młodszych.

- Poluje. - Przez chwilę przetrawiała jego słowa. Upiła łyk kawy, popatrzyła mu prosto w oczy. Czy mu się wydawało, że w jej oczach czaił się śmiech? - Ale nie wbrew ich woli?

No nie. Czyżby nic nie wiedziała o facetach?

- Nie.

- Aha. Myślisz, że też mogłabym być taka?

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie i nagle go tknęło: ona tylko udawała głupią! Pewnie od początku wiedziała, co oznacza to określenie!

- Nie, nie wydaje mi się, by to mogło mieć odniesienie do ciebie. Jednak młodzi faceci, na przykład Jason, mogliby nabrać mylnego przekonania.

Jason chyba nie. Trochę mu ulżyło, gdy usłyszał, że mówi do Lindy „mamuśka”.

- Oglądasz przedpołudniowe programy w telewizji? - Od dwudziestu lat zajmowała się domem, więc powinna być lepiej zorientowana niż on.

- Nie. Jeśli mam wolną chwilę, to wolę sobie poczytać.

Czyli jej edukacja spada na mnie, skwitował ponuro.

Cóż, dziś daleko się nie posunęli. Zaczął ją przestrzegać, lecz potem zeszło to na dalszy plan. W jej towarzystwie poczuł się tak rozluźniony i zrelaksowany, że zupełnie zapomniał o swoim szczytnym zadaniu. Luźna pogawędka przy kawie... było tak miło.

Oboje należą do tego samego pokolenia, mają podobne doświadczenia, podobne sprawy ich poruszają. Rozmowa toczyła się gładko, swobodnie, tematy same się nasuwały. Pogadali o starych i nowych domach, pośmieli się, pożartowali. Sam się dziwił, że przyszło mu to tak łatwo. I dopiero wtedy uzmysłowił sobie, jak dawno nie śmiał się tak serdecznie, i to z najzwyklejszych rzeczy.

Po kawie, którą pili nadspodziewanie długo, zrobili rundkę po okolicznych miasteczkach, zaglądając do antykwariatów i galerii. Do domu wrócili o zmierzchu. Sam nie wierzył, że zeszło im tyle czasu.

A i tak żałował, że to już koniec dnia. Chętnie by go przedłużył. To Linda zdecydowała, że już musi wracać do siebie.

- Żyję na walizkach. Jeszcze nie rozpakowałam wszystkich rzeczy.

Odprowadzając wzrokiem odjeżdżającego smarta, przypomniał sobie, że obiecał jej pomoc przy rozpakowywaniu. Może powinien za nią pojechać?

Nie!

Tego nie było w planie. A planu musi się trzymać, by nie dać się zwieść na manowce. Dzisiejszy dzień to potwierdził. W sumie niczego jej nie nauczył. Co najwyżej, gdy jakiś młodzieniec zacznie poczynać sobie z nią zbyt nachalnie, Linda zorientuje się, że wziął ją za kobietę szukającą wrażeń.

Choć tylko jakiś zupełny świr mógłby uznać ją za ryczącą czterdziestkę. Przecież na pierwszy rzut oka widać, że Linda to chodząca łagodność.

Przypomniał sobie tamten pocałunek. Trwał ledwie mgnienie, a tak zapadł mu w duszę. A potem to testowanie wanny... Jeśli on sam - a przecież zależy mu tylko na jej dobru - ma takie problemy z kontrolowaniem własnych myśli, to co powiedzieć o innych? Miałby zaufać innym facetom, tym fałszywcom i szajbusom? Nie ma mowy! Dlatego musi trzymać się wytyczonego celu. Nie pojedzie pomagać jej przy rozpakowywaniu rzeczy. Sprawy między nimi mogłyby zajść za daleko, a właśnie przed tym chciał ją ostrzec.

Wszedł do domu i od razu usiadł przy komputerze, by zrobić spis wytycznych dla Lindy, a mianowicie, co powinna wiedzieć, nim nawiąże z kimś bliższą znajomość. Musi wypytać kandydata, czy i od jak dawna pracuje oraz czy dobrze zarabia; wywiedzieć się o jego wcześniejsze związki i relacje z rodziną; zorientować się, czy jest lojalny, solidny, godny zaufania, czy nie ma skłonności do nałogów, czy angażuje się w życie lokalnej społeczności.

Nie pozwoli jej umawiać się z nikim, póki najpierw nie zgromadzi tych informacji. Linda lubi czytać, więc przydadzą się jej stosowne poradniki. Podpowiedzą, jak znaleźć odpowiedniego mężczyznę, jak odczytywać intencje facetów. Gdy skończył, padał ze zmęczenia, ale zamówił dla niej kilka obiecujących pozycji.

Miał mieszane uczucia. Wolałby, żeby Linda niczego nie zmieniała w swoim życiu, ale cóż, skoro dzisiejszy świat to prawdziwa dżungla i Linda może ucierpieć.

Jeszcze raz popatrzył na swoją listę.

Wniosek sam się nasuwał - to on jest dla niej idealnym mężczyzną.

Z wyjątkiem jednego. Powinien być z nią absolutnie szczery, a to się nigdy nie stanie, skoro obiecał dyskrecję komuś, kto już nie żyje.

Ciążyła mu ta tajemnica Blaira. W dodatku chodzi o dziecko. Dziewczynka niedługo skończy dwa latka. Jest pod opieką cioci, siostry kochanki Blaira. Tracy, choć sama dopiero wchodzi w dorosłe życie, przygarnęła sierotę.

Rick zarządzał pieniędzmi, które Blair przeznaczył dla córki, i od czasu do czasu łagodził niepokoje Tracy. Dziewczyna łatwo wpadała w panikę, a wtedy on był dla niej jedynym ratunkiem.

Tajemnica Blaira. I jego.

Westchnął, oparł głowę na dłoniach. Nie mógł wyjawić Lindzie tego sekretu. Już i tak tyle przeszła przez Blaira. Co jej pomoże ta prawda? To byłby dla niej straszny cios.

On strzeże tej tajemnicy, a to oznacza, że nie jest idealnym mężczyzną dla Lindy. Poczuł smutek, a jednocześnie ulgę.

Zmusił się, by jeszcze raz przeczytać listę. Musi podejść do sprawy racjonalnie, pomóc Lindzie wybrać właściwego kandydata. Sam jest z góry skreślony, bo nigdy by mu nie wybaczyła ukrywania prawdy. Tym bardziej nie powinien dziś tak dobrze się bawić. Bo nie jest z nią szczery.

Z drugiej strony dał słowo Blairowi. Błędne koło. Sięgnął po telefon.

- Och, cześć! - Była zaskoczona, a jednocześnie uszczęśliwiona.  
- Co powiesz na kolację jutro wieczorem?  
- Bardzo chętnie. - W jej głosie znowu usłyszał zaskoczenie i radość.

Wybierając się na kolację, zabrał kupione dla Lindy książki. Zamierzał jej je wręczyć, lecz jakoś się nie złożyło, dlatego nazajutrz rano podjechał do domu O'Brianów. Linda przywitała go, obsypana od stóp do głów gipsowym pyłem.

Jeśli tak będzie wyglądać za trzydzieści lat, to tylko pogratulować, pomyślał w duchu. Poszedł z nią obejrzeć wnętrza i znowu zapomniał o książkach.

Dom przechodził ogromną metamorfozę, zmieniał się nie do poznania. Również Mildred, która przyszła pomóc wybierać kafelki do kuchni, była odmieniona. I nawet się do Ricka uśmiechnęła.

Zabrał je obie na lunch.

Obiecał sobie, że przy pierwszej nadarzającej się sposobności da Lindzie poradniki, lecz sprawy znowu się skomplikowały. Zaproszono go na prezentację domu wystawionego na sprzedaż przez zaprzyjaźnioną agencję nieruchomości. Od razu pomyślał o Lindzie. Na pewno chętnie by tam poszła.

Wpadł po nią do domu O'Brianów i na piechotę ruszyli do znajdującej się niedaleko rezydencji. Szeroka ulica była obsadzona potężnymi drzewami. Żółte i czerwone liście szeleściły pod nogami.

Gości podjęto serami i winem. Rick i Linda dokładnie obejrżeli dom, wymieniając fachowe uwagi. Rick poznał ją z właścicielem agencji, Rayem. Lubił go i poważał.

Ray zadzwonił do niego tego samego wieczoru.

- Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o tej pani, z którą dzisiaj byłeś. Jest twoim nowym kierownikiem?

- To wdowa po Blairze.

- Ach! - Jego ton się zmienił. Wszyscy w branży znali historię Blaira.

- Nie miałbyś chyba nic przeciwko, gdybym do niej zadzwonił?

- Po co? Chcesz ją zatrudnić?

Ray zaśmiał się. Był wyraźnie zmieszany.

- Nie. Chodzi o kontakt bardziej prywatny.

Rick milczał. Czy nie kogoś takiego jak Ray chciałby widzieć u boku Lindy? Ray spełnia wszystkie warunki. Był godny zaufania, świetnie sobie radził, ludzie go bardzo cenili. Znał go od dawna i nie mógł powiedzieć o nim złego słowa. Ray był wdowcem, nie rozwodnikiem. Wciąż bardzo dbał o dorosłe już dzieci, prowadził drużynę koszykówki, w której grał jego wnuczek.

- Ona jeszcze nie jest na to gotowa.

Odłożył słuchawkę - i nagle go olśniło. To on nie jest gotowy, on nie chce oglądać Lindy z innym. Wcale nie dlatego, że jeszcze nie zdążył jej wyedukować.

Nie da jej tych książek i nie będzie poznawał z mężczyznami, którzy ewentualnie mogliby się jej spodobać. Nie będzie ostrzegać jej



przed zagrożeniami. Bo idealnego mężczyzny i tak nie znajdzie. Z prostego powodu - bo taki nie istnieje.

Dlaczego wcześniej tego nie widział? Jakoś tak staroświecko do tego podszedł. Jej do szczęścia nie jest potrzebny mężczyzna, lecz coś, w czym będzie się realizować. Chodzi o konkretny cel - taki jak dom O'Brianów.

Musi znaleźć jej jakieś hobby, by miała czym zapełnić wolny czas. Zamyślił się. Linda lubi obserwować ptaki, lub też starocie. I wyżywa się w gotowaniu. Kursy wieczorowe. To jest pomysł. Namówi ją na taki kurs.

Nagle się zreflektował. Przecież takie zajęcia to nic innego jak pretekst do nawiązywania kontaktów. Samotni poznają samotnych. Czyli znowu znalazł się w punkcie wyjścia. Może kupić jej samouczki? Albo filmy?

Wszedł do internetu. Tym razem szło mu szybciej: „Poradnik dla początkujących obserwatorów ptaków”, „Mały majsterkowicz”, „Domowe wypieki”, „Renowacja mebli”, „Pieczemy chleb”. Z zadowoleniem popatrzył na swoje zamówienie.

Naraz znieruchomiał.

Przez oczami stanęła mu jej twarz, gdy Jason powiedział, że chciałby mieć kiedyś pieska.

Odetchnął głęboko. Mnóstwo książek i pies, oto, co wypełni jej życie! A czyż można wyobrazić sobie lepszego towarzysza? Pies jest lojalny, oddany właścicielowi, zawsze go wysłucha, a dodatkowo da Lindzie poczucie bezpieczeństwa.

Zagwizdał. Wreszcie był na dobrej drodze. Ozdobnie zapakowane poradniki na tematy damsko-męskie wylądowały w koszu na śmieci.

Teraz pozostaje mu tylko rozejrzeć się za psem...

Popatrzyła na piętrzące się kartony. Otworzyła pierwszy z brzegu. Naczynia kuchenne. Zamknęła pudło, sięgnęła po następne. Ręczniki. Ilość wystarczająca na cztery łazienki w dawnej rezydencji. Ręczniki, których używał Blair. Odda je biednym.

Nie chciała wspominać zmarłego męża, lecz znów wkraść się podstępnie w jej myśli. Teraz, gdy życie nagle zaczęło nabierać barw.

Zostawiła kartony, poszła do łazienki i popatrzyła na swoje odbicie. Była odmieniona. Policzki zaróżowione od słońca i wiatru, potargane włosy, oczy pełne blasku.

Była gotowa na nowo zmierzyć się z życiem. Przypomniała sobie subtelne aluzje Ricka i uśmiechnęła się do siebie. Dobry z niego kumpel. Czy ich znajomość kiedyś wykroczy poza przyjaźń? Ostatni tydzień dał jej tyle radości. Na widok Ricka jej serce biło żywiej, a gdy dzwonił telefon, z nadzieją czekała na jego głos.

Dzięki niemu znów zaczęła się śmiać i inaczej patrzyła na swoje życie i cały świat. Czuła się z nim dobrze i bezpiecznie, a jednocześnie przepelniała ją ekscytacja i podszyta lękiem radość.

Wiedziała, że nie powinna wybiegać w przyszłość, bo lepiej żyć dzień po dniu, na nic nie licząc i o niczym nie marząc.

Nauczyła się tego po śmierci Blaira, gdy nie mogła pogodzić się z tym, co ją spotkało, gdy dobijał ją ogrom jego nikczemności. Blair wraz z kochanką zginęli w pożarze hotelu. Tak sprytnie się ukrywał. Jego romans trwał lata a ona niczego się nie domyślała, choć inni naokoło świetnie wiedzieli. Pochłonęło ją prowadzenie domu i wychowywanie córki.

Może sama nie chciała widzieć prawdy. Z Blairem od początku się nie układało. Ożenił się z nią, bo musiał. Małżeństwo i dziecko, które dla niej stały się racją bytu dla niego były wyrokiem. Ona od początku była na przegranej pozycji. Wychodziła ze skóry, by spełnić jego oczekiwania, zjednać go sobie. By nie znienawidził jej i Bobbi.

Jak to dobrze, że to już zamknięty rozdział, że już nie musi się tak rozpaczliwie starać i wreszcie może oddychać pełną piersią, bez stresu.

Dopiero teraz pozwoliła sobie na gniew, który dotąd tłumiała. Jak Blair mógł tak się do niej odnosić, tak ją tłamsić? Jak mógł uważać Bobbi - śliczną, kochaną Bobbi - za pułapkę, a nie za najwspanialszy cud? Jak śmiał odpowiadać ponurą miną na jej nieśmiałe napomknienia o następnych dzieciach? Jak mógł uważać miłość, którą mu ofiarowała, za coś oczywistego, coś, co mu się po prostu należy i o co nie musi zabiegać?

W kartonie, który otworzyła, były kryształ. Starannie zapakowana bezcenna waza, karafka do wina, kieliszki do szampana. Blair był snobem, uwielbiał wszystko, co kojarzyło się z bogactwem. Na urodziny i rocznice ślubu dostawała od niego kolejne egzemplarze

do jego kolekcji. Nigdy nie ofiarował jej tego, czego najbardziej pragnęła - zrozumienia.

Zaniosła karton do piwnicy, wyjęła wazę i z całej siły cisnęła nią o cementową ścianę. Kryształ z hukiem rozprysnął się w kawałeczki. Sięgnęła po następny przedmiot. Kiedy opróżniła pudło, podłoga była zasłana szklanym pyłem. Rzucając, darła się na całe gardło, wyzywając Blaira od najgorszych, nie szczędząc wyrażen, od których wiodły uszy. Przez dwadzieścia lat powstrzymywała się przed tym, by wykrzyknąć swą złość. Teraz dała jej ujście. Przeklinała Blaira, a łzy płynęły jej po policzkach. Wreszcie poczuła ulgę. Wyczerpana usiadła na podłodze, popatrzyła na stos rozbitego szkła i zachichotała.

No pięknie! Wyładowała się, rzucając szkłem o ścianę, wydzierając się jak przekupka i klnąc jak marynarz!

Zachichotała znowu, wyobrażając sobie, jak teraz wygląda. Zaniosła się śmiechem. Wreszcie poczuła się wyzwolona. Śmiała się z całego serca, aż rozboleł ją brzuch. Jest wolna, świat stoi przed nią otworem, pełen nadziei i radości.

Wyszła z piwnicy, zamknęła drzwi. Posprząta kiedy indziej. Teraz chce się nacieszyć poczuciem swobody, przeczuciem czekającej ją pięknej przyszłości.

Zadzwoił telefon. Sprawdziła, że to Bobbi.

- Nie uwierzysz, gdzie dzisiaj byłam! - Opowiedziała córce o wycieczce, na którą zabrał ją Rick, orle, którego widzieli, o barze, w którym pili kawę, wędrownice po antykwariatach. Zdała jej relację z

postępu robót remontowych, pokrótce powiedziała o Mildred i Jasonie.

Nie wspomniała o wspaniałym, kryształowym finale cudownego dnia.

- Mamo?

Serce jej zamarło. Przez cały czas opowiadała o sobie! Jak mogła być taka zaślepiona? Bobbi chyba płacze!

- Bobbi, stało się coś złego?

- Skądże! Tylko jeszcze nigdy nie byłaś taka szczęśliwa.

Strasznie się cieszę.

- Chcesz powiedzieć, od śmierci taty?

- Nie, w ogóle. Nigdy cię takiej nie słyszałam.

Przez całe życie wmawiała sobie, że jest jej dobrze tak, jak jest, że satysfakcjonuje ją szykowanie przyjęć urodzinowych, szycie kostiumów na szkolne przedstawienia, dekorowanie domu na Boże Narodzenie, jednak nikt się na to nie nabrał, nikogo nie oszukała. Z wyjątkiem samej siebie.

Porozmawiały jeszcze trochę, potem Linda długo siedziała zapatrzona w ciemniejący za oknem ogród. Już wiedziała, dlaczego tak poruszył ją obraz wzbijającego się w niebo żurawia. Był symbolem wolności, czegoś, czego sama nigdy nie miała. Szansy na szczęście.

Po raz pierwszy od bardzo dawna odpowiada tylko za siebie. Może tłuc talerze, jeśli jej przyjdzie taka ochota. Leżeć o świcie na trawie. Kupić samochód, który się jej spodoba, zrobić sobie długą

kąpiel w pianie. Objęła się ramionami, popatrzyła na migoczące gwiazdy. Chciałaby sięgnąć po jedną z nich, poczuć, jak to jest. Radość wezbrała w niej niczym flaga rozwijająca się na wietrze.

Nazajutrz rano zdecydowała z Jasonem o rozebraniu przybudówki. Prace posuwały się wartko. Kiedy pod dom podjechał Rick, Linda, ocierając z włosów pajęczyny, jak oparzona wyskoczyła z roboczego kombinezonu. Jason popatrzył na nią z aprobatą.

Wspomniała słowa Ricka o ryczących czterdziestkach i wybuchnęła śmiechem.

- Jason, co robisz w Święto Dziękczynienia?

- Hm... jeszcze nie wiem - wybąkał zaskoczony.

- Moja córka przyjedzie z uczelni. Może miałbyś ochotę do nas wpaść?

- Twoja córka?

Widziała, że szuka wymówki, aby się wykręcić. Pośpiesznie odszedł.

- Co go tak pognało? - chmurnie spytał Rick.

- Zaproponowałam mu, by poznał Bobbi, ale, jak widać, nie ma na to ochoty.

- Dziwisz się? Jeśli matka zachwala córkę, to zawsze coś się za tym kryje. Z paniąką coś jest nie tak. Ma dwie głowy albo sto kilo nadwagi. Rozumiesz.

- Zaraz! Nie mam żadnych ukrytych zamiarów, a Bobbi niczego nie brakuje. Sam wiesz.

- Owszem, ja wiem, ale on nie musi się tego dowiedzieć, prawda?

- Co masz przeciwko Jasonowi?

- Nic, z wyjątkiem tego, że jest facetem. A ja znam facetów, wiem, co sobie myślą. Nie chce spotkać się z twoją córką, bo, ponieważ cię zna, musiałby zachować się w stosunku do niej przyzwoicie.

- Rick, nie wiedziałam, że jesteś taki cyniczny.

Nie musiał odpowiadać, wystarczył jej rzut oka na jego twarz. Przez lata przyjaźnił się z Blairem. Może się do niego upodobił?

- Chciałbym ci coś pokazać. Chodźmy do mojego samochodu.

Spodziewała się, że przywiózł nowe katalogi z eleganckimi rezydencjami, jednak Rick otworzył tylne drzwi i wyjął coś z koszyka. Czarna puchata kuleczka popatrzyła na nią zaspanymi oczkami.

- Mój Boże - wyszeptała. - Szczeniaczek!

Patrzył na nią z rozpromienioną miną, a piesek ufnie przylgnął do jego piersi. Nie mogła oderwać oczu od tego wzruszającego obrazka.

- Daj mi go potrzymać. - Gdy podał jej pieska, roztkliwiła się: - Jaki śliczny! - Szczeniaczek pisnął cichutko i wtulił się w nią.

- Ładny, prawda? - z zadowoleniem rzekł Rick.

- Wiesz, zawsze wyobrażałam sobie ciebie z pieskiem.

- Naprawdę? - Zmarkotniał nieco, jakby to jej stwierdzenie odbierało mu trochę męskości.

- Wyglądacie wspaniale - próbowała dodać mu otuchy.

- A już zaczynałam się zastanawiać, czy nie boisz się zobowiązań. Jednak gdy bierzesz sobie pieska, to masz świadomość, na co się decydujesz.

Zamruczał coś pod nosem. Nie wyglądał na zadowolonego. A przecież ona wcale nie chciała zniechęcić go do psiaka!

- To pies dla mężczyzny - zaczęła z przekonaniem. - Popatrz na jego łapy. Wyrośnie na olbrzyma. Taki pies potrzebuje mocnego, silnego pana, który nad nim zapanuje.

Pochlebstwa niewiele zdziałały. Nadal miał chmurną minę.

Podniosła łapkę szczeniaka.

- Wygląda trochę na labradora. A trochę na nowofundlanda. Skąd go masz?

- Ze schroniska. Prawdę mówiąc, szukałem innego, ale gdy ten maluch popatrzył na mnie tymi wielkimi brązowymi oczami, musiałem go wziąć. - W jego głosie znowu zabrzmiały wątpliwości.

Linda zajrzała w wielkie ślepia szczeniaka.

- Będiesz miał najcudowniejszego pana! - zapewniła.

- A ja będę cię często odwiedzać! Dobrze, Rick?

Przez mgnienie jakby się wahał.

- Hm, jasne.

Co się z nim dzieje? Czemu jest taki niezdecydowany?

- Może też kiedyś będę miała pieska - zadumała się Linda.

Patrząc na twarz Ricka, obawiała się, że teraz żałuje, że wziął sobie na głowę taki kłopot. - Ale jeszcze nie teraz. Wczoraj wieczorem zastanawiałam się, jak to dobrze być wolną i niezależną, jaka to dla



mnie odmiana.. - Uśmiechnęła się. - Chodź, znajdziemy mu jakiś patyk.

Postawiła pieska na ziemi. Był jeszcze za mały na łapanie patyków, ale zaczął zabawnie hasać po leżących na ziemi liściach. Początkowo Rick przyglądał się temu z rezerwą, lecz po chwili uległ czarowi zwierzaka. Zapomniał o oporach i razem z Lindą wesoło gonił za pieskiem, zaśmiewając się do rozpuku.

Potem Linda, trzymając na piersi pieska, oprowadziła Ricka po domu. Od wczoraj dużo się zmieniło. Zainstalowano nowe szafki kuchenne z klonowego drewna, położono blaty z czarnego marmuru. Kuchnia robiła oszałamiające wrażenie.

- Spisałaś się na medal - pochwalił Rick. - Będzie mi ciężko wystawić ten dom na sprzedaż.

Puchła z dumy.

- Mnie też będzie ciężko się z nim rozstać. Wiesz, co najbardziej mnie w nim ujmuje? Ten dom daje mi nadzieję. Jest stary, zniszczony i zapuszczony, jednak jego konstrukcja jest nienaruszona. Wymaga tylko starania i troski, by wydobyć z niego ducha dawnych czasów.

- To daje ci nadzieję?

- Właśnie. Bo tak samo jest z ludźmi. Też taka byłam, a teraz czuję, że dokonuje się we mnie przemiana. Zaczynam inaczej odczuwać, inaczej myśleć. Dziękuję ci za to. Wiem, że z czasem bym się otrząsnęła, lecz skłoniłeś mnie do działania, za co jestem ci bardzo wdzięczna.

Piesek, który w tej właśnie chwili nasiusił Rickowi na białą koszulę, przerwał niezręczną ciszę. Zaczął się wyrywać i przepraszająco lizać Ricka po twarzy. Zaśmiewając się jak dzieci, popędzili do wyjścia.

- Dziękuję, że przywróciłeś mnie do życia - cicho powiedziała Linda. Wspięła się na palce, cmoknęła Ricka w policzek i wbiegła do domu.

Tej nocy śnił się jej piesek. Miał na szyi piękną czerwoną kokardę, a Rick wręczał go jej z uśmiechem.

Obudziła się, wciąż mając w pamięci ten sen. Przywołała słowa, które powiedział Rick, gdy pokazał jej pieska. Usiadła na łóżku. Bo dopiero teraz dotarło do niej, dlaczego był taki niezdecydowany i chmurny. Ten piesek miał być dla niej! To dla niej go kupił!

Może to irracjonalne przypuszczenie, jednak musiała się upewnić, jak naprawdę było. Zerknęła na zegarek. Wpół do czwartej. Nie zadzwoni do niego o tej porze.

Jednak nowa Linda miała kierować się impulsem, nie zastanawiać się nad każdym ruchem. Włożyła na piżamę kurtkę i luźne dzinsy, wskoczyła do samochodu. Dopiero w połowie drogi uświadomiła sobie, co najlepszego wyrabia. Jedzie w środku nocy w piżamie i kapciach!

Nie mogła zapytać Ricka o pieska, skoro sama nie wiedziała, co sądzić o takim gościu. W pierwszej chwili była oczarowana, lecz szybko przyszło opamiętanie. Weszła w nowy etap życia, chce

zakosztować wolności, a nie pakować się w zobowiązania. I nie chce, by ktoś jej cokolwiek narzucał. Musi sama o sobie decydować.

Była już całkiem rozbudzona. I dopiero teraz tknęło ją, że jedzie do Ricka wcale nie z powodu pieska! Chce się przekonać, czy Rick jest sam. Wcześniejsze doświadczenia nauczyły ją podejrzliwości. Czy taki mężczyzna może być sam? Pewnie jest taki jak Blair.

Nie chciała tak myśleć o Ricku. Od razu robiło się jej ciężko na sercu. Jednak dostała już nauczkę, dała się oszukać. Lepiej być czujnym, by potem nie żałować.

- No cóż - powiedziała do siebie - przecież nic się nie stanie, gdy podjadę pod jego dom. Jeśli będzie tam stał jakiś samochód, to sprawa jest jasna.

Jednak im było bliżej, tym bardziej się wzdragала. Chciała ufać Rickowi, a jeszcze bardziej sobie.

Czy mogła polegać na własnej ocenie? Zawierzyć swej intuicji? Do czego jeszcze jest zdolna się posunąć, jeśli nabierze podejrzeń? Głuchych telefonów w środku nocy? Przeglądania numerów w jego komórce?

- Nie, nie jestem taka - stwierdziła.

Jednak było za późno, by się wycofać. Uliczka kończyła się ślepo, Linda musiała dojechać do domu Ricka i dopiero tam mogła zawrócić.

Jego okna były ciemne. Na podjeździe nie stał żaden samochód. Już zaczęła oddychać lżej, gdy zapaliło się światło przy wejściu i na

próg wyszedł Rick. Był w szlafroku, na rękach miał pieska. Postawił go na ziemię, a sam rozejrzał się sennie.

I wtedy ją zobaczył. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

Najchętniej skryłaby się za kierownicą i odjechała z piskiem opon, lecz było za późno. Z głębokim westchnieniem zjechała na pobocze. Żaden wykręt nie wchodził w grę, musiała wyznać prawdę. W istocie - bardzo tego pragnęła. Bo marzyła o tym, czego jeszcze nigdy nie miała. Chciała, by ktoś się o nią zatroszczył, by komuś na niej zależało.

Jeśli wierzyć podszeptom serca, Rick może być dla niej kimś takim.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W pierwszym momencie był pewien, że śni. Zamrugał, przetarł zaspane oczy. Niemożliwe, by Linda znalazła się pod jego domem o czwartej nad ranem.

To na pewno zbieg okoliczności, że jego spokojną uliczką jedzie samochód identyczny jak Lindy. O tej porze nie ma tu ruchu, więc puścił szczeniaka, by powęszył pod drzewem. Z niedowierzaniem popatrzył na samochód. W świetle ulicznej lampy ujrzał bladą twarz Lindy, jej rozszerzone oczy.

Podjechała na pobocze i wysiadła. Widział, że podchodzi do niego z ociąganiem, jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku.

Czego mogła od niego chcieć w środku nocy?

- Cześć - wyszeptała.

- Cześć. - Spod kurtki wystawała różowa piżama. Po raz pierwszy w życiu poczuł potrzebę, by uszczypnąć się mocno. Sam już nie wiedział, czy to sen, czy jawa.

- Co ty tu robisz? - zagadnęła, jakby to, że właściciel stoi na progu swego domu, było czymś zaskakującym.

- Wyczytałem w poradniku, że należy wyprowadzać Sralusia kilka razy w nocy. W ten sposób łatwiej nauczę go czystości.

- Wdrożysz go do dyscypliny - pochwaliła.

Musiał wziąć się w garść. Przy Lindzie łatwo się zapomnieć, tak miło słuchać jej pochwał. A przecież powinien zapytać, co ona robi w środku nocy pod jego domem.

- W tej książce twierdzą, że takie postępowanie przyniesie efekty. - Co on plecie, zamiast dowiedzieć się, czemu tu przyjechała... w tej słodkiej piżamce widocznej spod kurtki i zbyt obszernych dżinsów. Musiała się bardzo śpieszyć.

- Nazwałś go Sraluś?

Wyraźnie chce sobie z nim pokonwersować. Miał poczucie nierzeczywistości, czystego surrealizmu. Stoją o czwartej rano na trawniku przed domem, on w szlafroku, Linda w piżamie.

Przemierzył wiele krajów, tyle zobaczył i zaznał tylu przygód, a ta jedna kobieta w jednej chwili potrafiła odmienić jego postrzeganie świata. I to na jego trawniku. Jest niesamowita. Potrzeba całego życia, by ją przeniknąć i poznać.

- To i tak najładniejsze określenie, jakie ode mnie usłyszał - rzekł, podejmując zaproponowany przez Lindę temat i obserwując psiaka. Humor mu się wyraźnie poprawił.

- Wolałabyś nie słyszeć, co mówiłem, gdy wyprowadzałem go o północy.

- Bardzo jestem ciekawa.

Czy to znaczy, że chciałyby go poznać również z innej, tej ciemniejszej strony? Zaintrygowała go. A gdy już usłyszała te epitety, najpierw zrobiła zaszokowaną minę, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Starsza pani, która mieszka ze mną po sąsiedzku, omal nie zabiła mnie wzrokiem, gdy wszedł na jej trawnik.

- Jakoś nie masz podejścia do starszych pań.

- To fakt. - Czy to znaczy, że do młodszych ma podejście? Zdecydował się wyznać całą prawdę. - Szczerze mówiąc, nie wiem, czy sobie z nim poradzę.

- Podobnie się czułam po pierwszych kilku nocach z Bobbi - z uśmiechem powiedziała Linda. - Byłam wykończona, zdenerwowana, po prostu do niczego.

Nie powiedziała tego wprost, lecz doskonale wiedział, o co chodziło. Była pozostawiona samej sobie, nie mogła liczyć na pomoc Blaira. Jego niechęć do kumpla jeszcze bardziej się pogłębiła. Blair na pewno pozbyłby się szczeniaka, nie ma mowy, by cokolwiek dla niego poświęcił.

Zatrzyma psiaka choćby po to, by udowodnić samemu sobie, że nie jest skończonym egoistą. Szczeniak jakby wyczuł stan jego ducha,

bo podbiegł i zaczął ciągnąć Ricka za rozwiązane sznurowadła, potem podniósł mordkę na pana i wesoło zamerdał ogonkiem.

- No już dobrze, zostajesz.
- Tylko wymyśl mu jakieś imię.

Uśmiechnął się. Czy to nie wariactwo? Stać o czwartej rano na trawniku przed domem i cieszyć się życiem, choć pada z niewyspania? Omawiają imiona dla psa, pogodę czy wydarzenia na świecie, a pytanie wiszące w powietrzu odpływa w siną dal...

- Masz jakiś pomysł?
- Wyrośnie na wielkiego psa, to może Okruszek albo Liliput?

Byłoby zabawnie.

- Myślałem o czymś innym. Reks albo Pirat.
- Jesteś mało kreatywny.

Tak jej się tylko wydawało, bo jego wyobraźnia aż buzowała na myśl o tej różowej pizamce.

- Pewnie się zastanawiasz, co robię tu o tej porze. - Szurała nogą o ziemię. Była w kapciach.

Zapomniał już o tym pytaniu i niemal żałował, że jednak padło, bo żartobliwy nastrój Lindy rozwiął się bez śladu. Była bardzo zakłopotana.

- Sądząc po twoim stroju, miałaś w domu pożar - zażartował, by nieco ją rozluźnić.

Uśmiechnęła się.

- Nie. Śnił mi się ten piesek.

- Tak? - Zaskoczyła go. Nie robiła wrażenia osoby przesądnej czy lekko szurniętej, choć niedawno przyłapał ją, jak leżała w piżamie na wilgotnej trawie i obserwowała żurawia. - Może wejdiesz do środka i opowiesz mi dokładniej? Na pewno szybko nie zasnę.

- Nie, dzięki. - Schowała wstydliwie w dzinsy wysuwając się piżamę.

- Skoro przyjechałaś, to jest to dla ciebie ważne. Chodź. Popatrzyła na samochód, odetchnęła głęboko i ruszyła za Rickiem do domu. Zapalił światło w kuchni. Piesek pognął do miski z wodą i wychłęptał ją żwawo.

- Nawet nie masz pojęcia, ile on siusia - poskarżył się Rick, a Linda wybuchnęła śmiechem. - Daj, powieszę ci kurtkę. - Gdy mocniej ściągnęła poły, dodał: - Wiem, że jesteś w piżamie. Już raz cię w niej widziałem. Sam też nie jestem całkiem ubrany.

Oddała mu kurtkę. W tej swojej piżamce wyglądała super. Zabawnie i seksownie.

- Co zrobisz, gdy będziesz musiał wyjść do pracy?

Aha, znowu wrócili do psa. Wyraźnie unikała odpowiedzi na pytanie, dlaczego tu przyjechała.

- Na pewno go tu samego nie zostawię. Zobacz, co zrobił z żyrafą. - Gdy nastawiał kawę, szlafrok rozchylił się lekko i Linda spostrzegła jego nagi tors. Dokładnie wiedział, kiedy to się stało.

Popędziła do salonu, podniosła żyrafę.

- Czy to ślady po jego ząbkach? Trzeba mu dać kostki do gryzienia. Masz takie?



- Jeszcze nie.

- Bo nie zamierzałeś stać się właścicielem pieska?

Znieruchomiał. A więc to jest powód jej wizyty.

- Nie kupiłeś go dla siebie, prawda? - Oparła się o futrynę, skrzyżowała ramiona.

Czuł na sobie jej uważne spojrzenie. Uciekł wzrokiem. Podsunął kubek pod stróżkę kawy.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo taki miałam sen. Że ten piesek miał być dla mnie.

- Cóż - podał jej kawę. - Coś w tym jest.

- Czyli to prawda?

- Przerażasz mnie. Co jeszcze ci się śniło? - Nie patrzył na jej usta ani na oczy. Ani na pizamę. Nawet nie chciał myśleć, co pod nią się kryło. Skoro Linda potrafiła czytać w jego myślach...

- Dlaczego chciałeś dać mi pieska?

- W twoim śnie nic o tym nie było?

- Nie.

Odetchnął głęboko. Nie będzie niczego ukrywał.

- Chciałem, byś miała dobrego, oddanego przyjaciela. - Zawahał się. - Wtedy nie musiałbym szukać ci odpowiedniego faceta, który spełniłby moje wymagania. - Już wiedział, że to uczciwe wyznanie niezbyt jej się spodobało. Może nie powinien być taki szczery? Ale czego można wymagać od człowieka o czwartej piętnaście rano? - To co, jesteś zadowolona? - zapytał, choć dobrze wiedział, że tak nie jest. - Po to przyjechałaś?

- Nie do końca. Myślałam, że chodzi o pieska, ale po drodze zrozumiałam, że nie w tym rzecz.

- A w czym?

- Chciałam się upewnić co do ciebie. Czy jesteś wolny. Zastygł. A więc to o to chodzi. Niestety, on nie jest do wzięcia. Chciałby być, lecz los sprzysiągł się przeciwko niemu. Blair powierzył mu swoją tajemnicę. List, który od niego dostał, czytał tyle razy, że znał go na pamięć.

„Jesteś szlachetnym człowiekiem, masz niezłomny charakter. Czasami miałem ci to za złe, bo czułem się od ciebie gorszy. Jednak teraz cieszę się, że mam kogoś, komu mogę całkowicie zaufać”.

To żona powinna być dla Blaira najbliższym powiernikiem, lecz już po kilku zdaniach było jasne, dlaczego to nie jej się zwierzył. Rick wzdragał się w duchu, poznając tę mroczną tajemnicę, jednak czuł się zobowiązany do dyskrecji. Blair obdarzył go zaufaniem, a teraz nie było go wśród żywych. Gniótł go ciężar tej tajemnicy i spoczywającej na nim odpowiedzialności.

Blair, który nigdy nie wydawał mu się człowiekiem przesadnym i działającym pod wpływem przeczucia, wręczył mu kopertę z napisem: „Otworzyć w razie mojej śmierci”. Stało się to na tydzień przed pożarem, w którym zginął, przez co przesłanie listu było tym bardziej poruszające. Jedno, co można było dobrego powiedzieć o Blairze, to fakt, że poczuwał się do tego, by zadbać o swoje dziecko.

Rick znał prawdę, która mogłaby zburzyć życie Lindy. Nie mógł jej tego zrobić. Przez ostatnie dni zaszła w niej tak wielka zmiana, w

jej oczach znowu błyszczała radość, zaczęła odzyskiwać wiarę w siebie.

Zależało mu na jej spokoju, poczuciu stabilności i bezpieczeństwa. Chciał jej dobra. To było coś w rodzaju miłości. Szlachetnej i prawej.

Miłość.

Nie chciał używać tego słowa, gdy myślał o Lindzie. Teraz, kiedy to już się stało, trudno mu będzie sobie tego zakazać, wymazać to pojęcie.

- Brutus - wypalił nagle.

- Słucham?

- Myślałem o imieniu dla psa. - Co za głupoty. Odzywa się Freud. Nawet samemu sobie nie można zaufać.

- Nie rozmawiamy teraz o psich imionach! Rzeczywiście. Rozmawiają o ludzkiej duszy. Tupnęła nogą. Gdyby jej złość nie była skierowana na niego, pewnie ten gest uznałby za słodki.

- Rozmawiamy o tobie i o mnie - powiedziała z mocą.

Miłość. Znowu to słowo mimowolnie przemknęło mu przez myśl. Nie, nie tylko przez myśl. Czuł je w duszy i w sercu, tylko umysł rozpaczliwie starał się zachować rozsądek.

- Kupiłeś dla mnie psa, by nie szukać mi mężczyzny? - rzuciła gniewnie.

- Lindo...

- Nie uspokajaj mnie! Uważasz, że nie potrafię sama sobie kogoś znaleźć, gdyby mnie naszła taka ochota?

- Ale...

- No nie! Jak mogłam być taką idiotką i myśleć, że cię pragnę, skoro nie umiesz odpowiedzieć na proste pytanie. Jesteś wolny czy nie?

- Lindo, proszę... Przełożmy tę dyskusję na bardziej sprzyjający moment. - Nie chciał teraz tego omawiać. Nie teraz, gdy zdał sobie sprawę, że się w niej zakochał. I gdy ona mówi, że czuje to samo. Bo chyba tak powinien to rozumieć.

- Ja już skończyłam.

Nie wiedział, czy to znaczy, że zamierza odejść. Miał taką nadzieję, lecz z drugiej strony nie chciał, by sobie poszła. Co ona z nim wyprawia!

Chciał, by została, i chciał, by odjechała. Chciał znaleźć jej faceta i nie chciał jej nikogo podsuwać. Był rozdarty. Jednocześnie dobry i zły, słaby i mocny, kochający i nastawiony tylko na siebie.

Coś błysnęło w jej oczach; dopiero po chwili dotarło do niego, że to pragnienie. I że Linda przejrzała go na wylot, że wszystko już wiedziała, choć nie powiedział ani słowa. Jak przed taką kobietą mógłby cokolwiek ukryć?

- Jest jeden sposób - stwierdziła z determinacją - by się czegoś dowiedzieć. Bez słów, bez odwoływania się do naszej przeszłości.

Postąpiła krok w jego stronę. Wiedział, co zaraz nastąpi. I co powinien zrobić. Odstawił kubek. Musi ją powstrzymać. Jednak prawdę - jego prawdę - trudno zagłuszyć.

Czy rzeczywiście otworzył dla niej ramiona?

Poczuł na piersi dotyk jej miękkich włosów i cała jego determinacja zniknęła. Zapomniał o postanowieniach, zapomniał o bożym świecie. Przygarnął ją mocno do siebie.

To było to. Jak powrót do domu.

Jeszcze nigdy nic nie wydawało mu się takie doskonałe, takie oczywiste. Ciepło jej oddechu na jego skórze, jej zapach, miękkość ciała... Wmawiał sobie, że to tylko moment, ledwie mgnienie, że zaraz ją puści, a wspomnienie tej chwili zachowa na zawsze.

Już prawie zebrał siły, by rozluźnić uścisk, gdy Linda podniosła głowę i popatrzyła na niego. Zatopił się w jej ciepłych, lśniących oczach. Mogła się cofnąć, lecz nie zrobiła tego. Zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła się mocniej. Uniosła ku niemu usta.

Zatracił się w pocałunku, rozkoszując się jej bliskością. Całował ją tak, jakby na tę chwilę czekał całe życie. A Linda odpłacała tym samym.

- Ach - wyszeptała wreszcie, jakby nagle odkryła ich najgłębsze sekrety. - Ach - powtórzyła w zachwycie.

Poddał się magii, lekkim dłoniom błędzącym po jego piersi, pieszczotom, od których brakowało mu tchu.

- Nie potrzeba mi pieska - wyszeptała. - Rick, to ciebie potrzebuję.

Wirowało jej w głowie, dotyk jego skóry upajał. Wiedziała, że przekracza granice, lecz to jej nie powstrzymywało. Musiała

dowiedzieć się prawdy, poznać jego uczucia, przeniknąć bariery, jakie Rick wznosił wokół siebie. Był na to tylko jeden sposób.

Jeszcze miała opory. Może powinna się zastanowić, opamiętać, spokojnie wszystko przemyśleć? Nie poznawała samej siebie. O świcie podglądała ptaki, w czarnej skórze jeździła na motorze, wyprawiała się na miasto w pizamie, pozwalała sobie na namiętne pocałunki.

Dokonywała się w niej wielka przemiana. Przeszła długą drogę, choć nie da się jej mierzyć na dni, tygodnie czy miesiące. Wytyczoną przez pytania, które zadawała sobie od śmierci męża.

Kim jestem? Ile jestem warta? Na czym mi zależy? Czego chcę od życia? Kiedy wreszcie stanę się sobą, prawdziwą Lindą Starr?

Może ta droga zaczęła się w chwili, gdy jako dziewiętnastolatka wypowiedziała słowa przysięgi, wiążąc swe życie z nieodpowiednim mężczyzną. I odtąd żyła w strachu.

Nie mogła się z niego wyzwolić. Ani przez chwilę nie mogła o nim zapomnieć. Bała się, co inni o niej myślą. Cięża, która zdarzyła się przypadkiem, zachwiała jej światem. I potem Linda wciąż starała się udowodnić wszystkim: rodzicom, znajomym, mężowi, że jest dobrą, porządną kobietą, której można zaufać.

Stała się idealną żoną bogatego męża i wspaniałą matką, nabrała ogłady, umiała się znaleźć w towarzystwie, jednak wciąż w głębi duszy tlił się w niej lęk. Nie mogła zapomnieć plotek i złośliwych opinii na swój temat. Bo Blair ożenił się z nią z musu.

Lecz czy te głosy zdoła kiedykolwiek uciszyć? Może wina leżała i po jej stronie. Chciała zapomnieć o namiętności, która przyniosła jej tak opłakane skutki. Może tym zraziła do siebie męża.

Zmroziły ją te wspomnienia. Nie chciała do nich wracać.

Usta Ricka zrobiły swoje - ich dotyk natychmiast przeniósł ją w krainę szczęśliwości. Znów była sobą, kobietą pełną namiętności, gorącą, zmysłową. Kobieta, która chce smakować chwilę i zatracić się w niej. Pocałunki stały się jeszcze bardziej namiętne i zaborcze, rozpalały wewnętrzny żar.

Rick, z trudem łapiąc powietrze, zajrzał jej głęboko w oczy. Pytająco. Doceniła to. I drżąc, skinęła głową.

- Lindo, na pewno? - zapytał chrapliwie.

Nie wahala się ani przez mgnienie. Wztał ją za rękę i ruszyli po schodach do sypialni. Szklana tafla wychodziła na ciemną rzekę. Tę samą, która przepływała koło jej domu. Tajemnicza życiodajna woda połączyła ich losy.

Piękny przestronny pokój, na środku ogromne łóże z białą wykrochmaloną pościelą. Puchowa kołdra złożona na pół. Rick podprowadził Lindę do łóżka, zrzucił szlafrok. Spodenki od piżamy okrywały mu biodra.

Wstrzymała dech.

Jakiż wspaniały mężczyzna! Światło księżyca srebrzyło jego tors. Rick podszedł bliżej, ale zatrzymała go ruchem ręki. Chciała mu się przyjrzeć, nasycić się tym obrazem.

W zachwycie kontemlowała szerokie bary, wspaniale wyrzeźbione piersi, płaski brzuch. Przyjrzała się rysom twarzy, płonącym oczom. To było jak sen. Albo jak obraz. Rick w świetle księżyca.

Pochylił się nad nią, musnął ustami jej ucho. Poczwała jego dłoń błędzącą po jej ciele i czające się w niej pragnienie wybuchło z dziką siłą.

Dźwięk telefonu wdarł się w ciszę.

- Nie przejmuj się tym - wyszeptał Rick. - Telefon o tej porze to nic dobrego.

Jego głos budził w niej przyjemne dreszcze. Całował jej szyję, aż z jej piersi wyrwał się cichy okrzyk.

Odepchnęła go lekko. Natrętne dzwonicie doprowadzało ją do szału. Może to jej córka? Dzwoniła i nie zastała jej, więc dzwoni do wujka. Znowu obudziło się w niej poczucie odpowiedzialności.

- Może to Bobbi? - wyszeptała.

- Bobbi? - zdumiał się. Nie był ojcem, nie wiedział, że człowiek zaraz wyobraża sobie najgorsze...

Sięgnął po słuchawkę.

- Tak? - mruknął cierpko.

Nie spuszczała z niego oczu. Rick zerknął na nią. Słyszała, że dzwoni kobieta, lecz czwała, że to nie Bobbi. Rick znowu popatrzył na nią czujnie.

- Zadzwoń do ciebie.



Linda zamknęła oczy. Jej namiętność gdzieś znikła, a ona poczuła się znużona. Jak dobrze znała takie sytuacje. Tajemnicze telefony w środku nocy.

Rick odłożył słuchawkę, przeciągnął palcami po zmierzwionych włosach.

- Przepraszam - powiedział.

W jego głosie nie było żalu, lecz po oczach widziała, że ma wyrzuty sumienia. Nie zamierzał jej jednak niczego tłumaczyć.

- Nie przepraszaj. - Siliła się na wesołość, lecz głos się jej łamał.

- Dzięki Bogu, że tak się stało! Ocaleni przez telefon!

Modliła się w duchu, by zaproponował, położył ją i żeby znów było jak przed chwilą, lecz Rick tego nie zrobił. Ten jeden telefon wszystko zmienił.

- Rick, zapomnijmy, że coś takiego miało miejsce.

Pobiegła do drzwi. Nie poszedł za nią. Kiedy się obejrzała, siedział na łóżku i splótłszy ręce, wpatrywał się w podłogę.

On nie zapomni tego, co się stało.

Niestety, ona też nie.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Słyszał, jak zbiegała po schodach. Trzasnęły frontowe drzwi. Po chwili zamruczał silnik i rozległ się odgłos odjeżdżającego samochodu.

Rick schował twarz w dłoniach. Czuł się fatalnie. Wciąż miał przed sobą wyraz jej oczu, gdy odkładał słuchawkę. Przecież nie zrobił nic złego, nic z tych rzeczy, o które pewnie go podejrzewała. Choć nie do końca.

Bo ukrywał przed nią bolesną prawdę. Linda czuła, że nie jest z nią szczery. Wiedziała to.

Pewnie sądziła, że chodzi o kobietę. Gdyby tylko o to!

Dzwoniła Tracy. Młodziutka dziewczyna, która wzięła na siebie ogromną, przekraczającą jej możliwości odpowiedzialność - wychowanie dziecka Blaira i jej siostry. Zdarzało się, że gdy nie mogła sobie poradzić, dzwoniła do Ricka nawet w środku nocy. Teraz już nieco rzadziej niż na początku. Biedaczka bała się, a na nikogo nie mogła liczyć. Zresztą sam ją zachęcał, by w razie czego nie miała skrupułów, bo zawsze ją wesprze.

Dlaczego dzwoniła? Czyżby stało się coś niedobrego? Nogi miał jak z ołowiu, nie miał siły mówić, jednak zmusił się, by zadzwonić.

- Przepraszam - zaczął. - Byłem zajęty.

- Aha. - W jej głosie zabrzmiała skrywana wesołość. Jasne, zajęty o tej porze. - Nie powinnam dzwonić tak późno. Angelina

strasznie płacze, już od kilku godzin, i nie mogę jej uspokoić. Nie wiedziałam, co robić.

Słyszał w tle żalosne pochlipywanie dziecka.

- Tracy, gdy dziecko tak długo płacze, najlepiej zabrać je do szpitala. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

- Zamówiłam taksówkę, ale nie przyjechała. Miałam nadzieję, że może ty nas zawieziesz.

Powinien na nią nawrzeszczyć. Dlaczego nie wezwała karetki? Ugryzł się w język. Był zirytowany, ale to nie wina Tracy. Zawstydził się. Nie nadawał się dla Lindy, skoro wszystko, co robił, przemawiało przeciwko niemu.

A już z optymizmem myślał o ich wspólnej przyszłości. Musiał zrewidować swoje pomysły i wszystko wyprostować.

Zmusił się, by skupić uwagę na słowach Tracy. Opisała mu objawy małej. Między słowami wyczytał więcej. Tracy bała się jechać do szpitala sama.

To miła, spokojna dziewczyna i bardzo oddana swej siostrzenicy, jednak była młoda, niewykształcona i niepewna siebie. Przerażała ją perspektywa jazdy na ostry dyżur. Łatwo ją było zastraszyć czy onieśmielić. Większość ludzi, nie doczekawszy się taksówki, zadzwoniłaby z awanturą.

- Zaraz u was będę.

Ubrał się i już wychodząc, tęsknie popatrzył na łóżko. Tak niewiele brakowało... Po kilku godzinach odwiózł Tracy i Angelinę do

ich niewielkiego domku, który kupił za pieniądze Blaira. Angelina w końcu zasnęła po silnych antybiotykach.

Pojechał do biura. O tak wczesnej porze jeszcze nikogo nie było. Zostawił sekretarce notkę, by odwołała spotkania na dzisiaj, potem umówił się z Laurence'em, starym kumplem.

Spotkali się w niewielkiej kawiarence w centrum, gdzie mogli pogadać w spokoju. Znali się i przyjaźnili od czasów szkolnych. Laurence został prawnikiem, jego kancelaria świadczyła usługi dla agencji Ricka, z wyjątkiem zarządu nad depozytem ustanowionym przez Blaira na rzecz Tracy i Angeliny.

- Wyglądasz jak śmierć na chorągwi - z miejsca zauważył Laurence.

- I tak się czuję. Chciałbym ci coś pokazać.

- Jako przyjaciel czy jako klient?

- Przyjaciel. - Podał mu list od Blaira. Ten list, który zmienił całe jego życie.

Laurence znał Blaira, lecz w miarę czytania jego twarz pochmurniała.

- Niezły był z niego facet - rzekł, podnosząc głowę znad listu - ale też kawał skurczybyka. Ładnie, że zadbał o dziecko, ale to, co zrobił Lindzie... Domyślam się, że postąpiłeś wedle jego życzenia i ona nic o tym nie wie?

- Dlatego chciałem cię prosić o radę.

Laurence przyjrzał mu się badawczo, wreszcie powiedział:

- Między tobą a Lindą coś się klaruje, czyż nie tak?

- Zakochałem się w niej.

- Rozumiem... W takim razie wszystko się komplikuje. Choć z drugiej strony... Jako prawnik mogę ci powiedzieć tyle, że to nie jest dokument w pełnym tego słowa znaczeniu i nie jesteś prawnie zobligowany do wypełniania woli Blaira. Nikt cię nie będzie za to ścigał.

Rick w milczeniu zakołysał filiżanką. Powinien odetchnąć z ulgą, lecz nadal był spięty. Nie chodziło mu o kwestie prawne. Sam wiedział, że nie można jednostronnie nakazać komuś czegokolwiek. Co innego, gdyby podpisał zobowiązanie. Ale tu chodziło o coś innego, coś, co dotyczyło sfery emocjonalnej.

- Teraz powiem ci, co myślę o tym jako twój przyjaciel, bez względu na to, czy chcesz tego słuchać, czy nie - rzekł Laurence. - Wręczenie ci tego listu i zepchnięcie odpowiedzialności na ciebie to zasługujący na potępienie postępek skończonego egoisty, który myśli wyłącznie o sobie. Nie pytając o zgodę, postawił cię w bardzo trudnej sytuacji. To zwykły szantaż, a ty mu uległeś. Czujesz się zobowiązany do krycia jego postępów, choć wcale nie musisz tego robić.

Rozumiesz?

Stała mu przed oczami okolona jasnymi loczkami buzia Angeliny.

- Blair mi zaufał. Wiedział, jaki jestem.

- Zwyczajny frajer - mruknął Laurence. - Innymi słowy, masz dobre serce, więc Blair posłużył się tobą. No tak, frajerzy są po to, by ich wykorzystywać - precyzyjnie ocenił sytuację.

- No to co teraz?

Laurence uśmiechnął się lekko.

- Po co mam ci mówić, skoro sam wiesz?

- Muszę jej powiedzieć. - Ledwie wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że przecież wiedział to od dawna. Milczał nie dlatego, że chciał być lojalny względem Blaira, ale dlatego, że nie chciał jej ranić. Jednak niewiedza może przynieść jeszcze większe cierpienie.

- Cieszę się, że tak zdecydowałeś, bo nawet jeśli Blair hojnie zabezpieczył dziecko, to jednak wszystko może się zdarzyć. Któregoś dnia ktoś może to dziecko podpuścić, by zażądało więcej. Pomyśl, jaki to byłby szok dla Lindy.

- Fatalnie... Myślisz, że Angelina mogłaby wyrwać coś więcej?

- To niełatwa sprawa, ale właśnie na takich prawnicy zbijają kokosy. Ale rozchmurz się, jak na zakochanego strasznie jesteś ponury.

- Bo to jest tak beznadziejnie skomplikowane.

- Niestety, musisz się do tego przyzwyczaić, stary. Tak to już jest z miłością.

Laurence miał rację.

Podjechał do domu O'Brianów, lecz Lindy nie zastał. Stropił się. Nie pojawiła się z powodu wczorajszej nocy? Woląла zostać w domu, by dojsć do siebie, pocieszać się czekoladowymi ciasteczkami?

Jason pokazał mu postęp prac. Wnętrza robiły wrażenie, rezydencja zmieniła się nie do poznania. Odnowione podłogi lśniły, całość była utrzymana w tradycyjnych, zgodnych z epoką barwach,

czyli odcieniach starego złota i burgunda. Wymyślnie upięte zasłony odsłaniały witrażowe szybki w górnych częściach okien, parapety urzekały formą i pięknem starego drewna. Linda umiejętnie podkreśliła wysokość wnętrza i zdobiące je sztukaterie. Kuchnia była jak z żurnala: urządzenia z nierdzewnej stali, blaty z czarnego marmuru, eleganckie w linii baterie, a jednocześnie udało się zachować dawny klimat nawiązujący do historii domu. Mieszcząca się obok kuchni przestronna spiżarnia zyskała nowe wyposażenie, ale i tu pozostał duch dawnych czasów.

Linda włożyła w tę pracę duszę i serce. Wszędzie odcisnęła swój ślad.

- Musisz obejrzeć główną łazienkę - zasugerował Jason. - Najlepsza, jaką dotąd robiłem.

- Niestety, nie zdążę - wymówił się Rick. Nie chciał oglądać tej łazienki.

- Linda urządza prezentację. Założę się, że szybko znajdzie się kupiec. Nawet ja straciłem głowę dla staruszki.

Chyba zaraz go walnie. Linda? Staruszka? Właśnie przed tym próbował ją ostrzec!

- Mówię o chałupie - uściślił Jason.

- Gdzie jest Linda?

Przygotował się na najgorsze. Wymówiła się chorobą, bo przez całą noc płakała w poduszkę.

- Powiedziała, że ma dzisiaj lekcję jazdy motocyklem. Nieźle, co?

Jeśli nawet czuje się dotknięta, to świetnie potrafi sobie zapęłnić czas.

Gdy wreszcie złapał ją przez komórkę, wcale nie wydawała się smutna i nie od razu dała się namówić na spotkanie. W związku ze zbliżającą się prezentacją miała napięty harmonogram. Po usilnych prośbach umówiła się z nim na kolację w przeddzień przyjęcia.

- Lindo, co do wczorajszej nocy...

- Chyba coś przerywa. - W słuchawce zapadła cisza.

Był zły. Powinien spotkać się z nią wcześniej, lecz jeszcze nie czuł się na siłach. Najpierw musiał przemyśleć parę spraw, zastanowić się, co powiedzieć. On gryzie się i zadrecza, a ona w tym czasie świetnie się bawi. Całe biuro nie rozprawiało o niczym innym jak o nadchodzącej imprezie. Wielkie wydarzenie sezonu.

- Linda ma znajomego, który gra w kwartecie Barbershop Boys. Mają wystąpić na przyjęciu! - ekscytowała się jedna z sekretarek. - I będą tartinki od Fernanda. Wyobrażasz sobie? U nich trzeba zamawiać stolik z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. A ten znany antykwariat Past Lives wypożyczy meble z epoki. I to gratis!

Znajomy z kwartetu, Herbert, przyjaźnił się z Blairem, podobnie jak Fernando. Właściciel antykwariatu pewnie też jest zainteresowany Lindą. Krążą wokół niej jak sępy polujące na jaskółkę. A może to oni są bezbronnymi jaskółkami padającymi u jej stóp, oszołomieni jej urodą i czarem. Tak jak on.

Przez ten czas wolne chwile poświęcał psu. Nad głową szczeniaczka zbierały się czarne chmury. Pies wył, ilekroć zostawał



sam, sąsiedzi skarżyli się, sąsiadka, pani w typie Mildred, wciąż zrzędziła, że „ten kundel” niszczy trawę.

Dziś doręczono mu pismo od komitetu domowego z wykazem ras odpowiednich do mieszkania w osiedlu.

Z rozbawieniem popatrzył na listę. Jack Russel terier? Miniaturowy pudel? To nie są psy dla faceta.

Rzucił spis, wziął na kolana psiaka i z dumą popatrzył na jego wielkie łapy. Nie mógł uwierzyć, że chciał go oddać Lindzie, że w ogóle chciał się go pozbyć. Pies w pewien sposób porządkował jego życie, zmuszał do poświęcania mu uwagi. Musiał pamiętać o wodzie i porach karmienia, wyprowadzać go na spacer, bawić się z nim. Rick był mu za to wdzięczny.

- Na pewno nie zamienię cię na pudelka.

Wciąż bezimienny piesek zapiszczał radośnie, gdy Rick połaskotał go w czułe miejsce pod brodą.

Usnął na kanapie razem z psem. Łóżko w sypialni jakoś dziwnie go nie przyciągało.

Linda zadzwoniła niedługo przed umówionym spotkaniem.

- Rick, padam ze zmęczenia. Przez cały dzień ustawialiśmy meble, a potem pomyłkowo przywieźli kwiaty zamówione na pogrzeb i trzeba było wszystko odkręcać. W dodatku jeden z muzyków zaniemógł. Ma coś z gardłem.

- Pewnie jakieś wirusy krążą w powietrzu. - Miał nadzieję, że owe wirusy dobrały się do Herberta.

Nie dziwił się, że Linda jest wykończona. Pracowała za trzech, w dodatku chodziła na lekcje jazdy. Choć sama jest sobie winna. Czemu nie poprosiła go o pomoc? Zresztą, on też miał zszarpane nerwy. Nie dość że ukrywał przed nią tajemnicę Blaira, to miał jeszcze jedną. Że ją kocha.

Może nie powinien wyznawać jej prawdy? Och, tym bardziej musi się z nią zobaczyć, zanim zmieni zdanie.

- Mógłbym wpaść do ciebie? Nie zajmę ci wiele czasu.

- Jasne - odparła bez przekonania.

Też pamiętał to, co się stało, kiedy ostatni raz się widzieli.

Kiedy ujrzał ją w drzwiach, wszystko stało się jasne, Kwartet, tartinki ze szpanerskiej knajpy, piękne antyki. To dla niej faceci wychodzili ze skóry i starali się jej przypodobać. Bo to fantastyczna kobieta.

Odkąd zajęła się domem O'Brianów, wstąpiło w nią życie. Wypiękniała, promieniała radością i witalnością. Miał nadzieję, że to, co jej powie, nie wytrąci jej z tego stanu.

- Proszę, wejdź.

Mimo nawału pracy już urządziła salon. Pokój bardzo się zmienił, stał się przytulny i miły. Musiała poświęcić na to sporo czasu. Może dzięki temu nie spotykała się z innymi facetami?

Zmieniła też fryzurę. Włosy nieco odrosły i mieniły się jaśniejszymi pasemkami. Miała ślicznie umalowane oczy, wyglądała olśniewająco, jak gwiazda filmowa. Była w kremowym jedwabnym kostiumie, pod spodem obcisły czarny topik. Kolczyki i naszyjnik.

- Kawy? - zaproponowała, gdy usiadł.

W tym stroju i w makijażu przypominała Linde, którą pamiętał, gdy jeszcze była z Blairem. Wydawała się daleka i zdystansowana. Chciał zderzyć z niej tę maskę.

Własnymi ustami.

Na pewno nie uczynią tego słowa, które za chwilę Linda usłyszy. Pochylił głowę nad kawą.

- Usiądź, proszę - rzekł z powagą. Gdy zdziwiona usłuchała, dodał: - Mam ci coś nieprzyjemnego do powiedzenia.

Najchętniej by uciekła, jednak położyła dłonie na kolanach i wyprostowała się. Czekala na najgorsze.

- Ten nocny telefon to nie było to, co myślałaś. Na pewno uznałaś, że się z kimś spotykam. Tak jednak nie jest. Nie mam nikogo.

- Rick. - Jej głos brzmiał chłodno. - To twoja sprawa. Nie mam prawa...

- Lindo, ta dziewczyna, która tej nocy dzwoniła, to Tracy Addison.

Na dźwięk nazwiska w jej oczach przemknął jakiś błysk.

- Siostra Lacy Addison - powiedział łagodnie.

- Kobiety, która zginęła z Blairem - rzekła bezbarwnym głosem.

- Tak.

- Widziałam jej zdjęcie w gazecie obok zdjęcia Blaira. Była piękna. - Jej głos nie zdradzał żadnych uczuć.

- Hm, Tracy nie jest podobna do siostry.

- Tracy i Lacy. Bardzo zabawne. - Nadal mówiła chłodnym tonem. - A ty się związałeś z siostrą tej kobiety, bo...?

Tej kobiety.

Przygotował się do tej rozmowy, przeciwiczył ją sobie, jednak wcale nie było mu łatwo.

- Ta kobieta - ostrożnie dobierał słowa - miała córkę. Tracy jest teraz jej opiekunką. Dziewczynka nazywa się Angelina.

Linda patrzyła na niego w milczeniu. Jeszcze nic do niej nie docierało. Czyli musiał powiedzieć wprost.

- Lacy i Blair mieli dziecko - wyjaśnił miękko.

Twarz jej się zmieniła, wlepiła w niego wzrok. Naraz skurczyła się, jakby ktoś wymierzył jej cios w żołądek. Skuliła się, zakółsała. Chciała coś powiedzieć, lecz z jej ust nie wydobywał się głos.

Podbiegł do niej, lecz odepchnęła go. Nie chciała niczyjego wsparcia.

- Pragnęłam mieć więcej dzieci... - Głos jej drżał, trudno było zrozumieć słowa. - Marzyłam o dużej rodzinie. On... on nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Lindo, strasznie mi przykro.

Wyprostowała się. Jej oczy go zmroziły.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? - zapytała po długiej chwili milczenia.

Chciał oskarżyć Blaira, lecz nie mógł tego zrobić.

- Bo to by cię załamało. I wydawało mi się, że może nie chciałabyś tego wiedzieć.

Milczała. Nie patrzyła na niego. Mocno zacisnęła splecione dłonie, kostki jej pobielały.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o Blairze? - Pytanie, które wciąż wisiało w powietrzu, wreszcie padło. Linda popatrzyła na niego. - Wszyscy naokoło wiedzieli. Dlaczego nikt nic mi nie szepnął, nie napomknął choć słowem, nie zadzwonił? Dlaczego?

- Lindo, ty nie chciałaś o niczym wiedzieć.

- Słucham? - Uniosła brodę. Jeszcze mocniej zacisnęła palce.

- On ci to mówił. W każdy możliwy sposób z wyjątkiem słów. Przekazywał ci tę informację, kiedy nie wracał na noc do domu, kiedy wyjeżdżał na weekendy, kiedy w jego kieszeniach znajdowałaś kartki z numerem telefonu i ślady szminki na koszuli. On ci to mówił.

Milczała. Wzdrygnęła się gwałtownie. Rick otoczył ją ramieniem, lecz szarpnęła się w tył. Ręka mu opadła.

- Uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć. Gdybym zachował to dla siebie, nie wiem, czy mielibyśmy jakąś szansę, choć to, co ci powiedziałem, tak naprawdę nie dotyczy ciebie.

Wbiła w niego wzrok. Co on bredzi? Blair nie chciał mieć z nią więcej dzieci. Zagroził jej drogę do życia, o jakim marzyła. Tak jak ona zagroziła jemu.

- Bobbi ma przyrodną siostrę. Jak więc to może mnie nie dotyczyć?

Dławiło ją w gardle, narastała w niej gorycz. I wciąż brzmiały jej w uszach słowa Ricka. Że nie chciała o niczym wiedzieć.

- Wolę zostać sama - powiedziała łamiącym się głosem. -

Dzięki, że wpadłeś.

- Lindo...

Jeśli on zaraz nie wyjdzie, załamie się, jej wola osłabnie. Ból, który czuła w środku, był jej sprzymierzeńcem. Jej tarczą i obroną.

Odprowadzała wzrokiem jego zamazaną sylwetkę.

Zeszła do piwnicy, znalazła karton z talerzami. Chciała zniszczyć wszystko, czego dotknął Blair. Rozbić to w drobny mak, choć intuicja podpowiadała, że to nie pomoże. Ona sama była naznaczona jego dotykiem i przez to skażona...

Wczołgała się do łóżka. Nie miała siły się rozebrać. Nim usnęła, przypomniała sobie czułość w oczach Ricka i słowa, które usprawiedliwiały i jego, i wszystkich pozostałych.

„Lindo, ty nie chciałaś o niczym wiedzieć”.

Chciała płakać, lecz łzy nie przychodziły. Była wyprana z uczuć. Dobrze, że jutro jest ta prezentacja, inaczej skryłaby się w jakiejś dziurze i już nigdy z niej nie wyszła. Jutro nie będzie mieć czasu na użalanie się nad sobą. I dzięki Bogu.

Mildred, wystrojona jak królowa, sama z siebie pełniła honory gospodyni, oprowadzając gości po rezydencji, opowiadając o jej historii i snując niekończące się, naszpikowane anegdotkami opowieści o odbywających się tu niegdyś weselach i piknikach. Lindzie pozostało tylko dopilnować, czy nie brakuje wina, tartinek lub naczyń.

Dzień był wspaniały. Łagodne promienie jesiennego słońca oblewały wszystko złocistym blaskiem, trawa wokół domu jaśniała. Goście bawili się doskonale, w domu rozbrzmiewał śmiech, rozmowy i pobrzękiwanie szkła. Wiele osób wyległo na trawnik. Impreza przeciągnęła się ponad przewidywany czas.

Muzycy znaleźli zastępstwo za chorego i ich występ również trwał dłużej, niż planowano. Śpiewali dla czystej przyjemności, a rozchodzący się goście nucili zasłyszane przed chwilą melodie.

Kilka godzin później, gdy dom opustoszał, a na zewnątrz zapadły ciemności, Linda wyniosła ostatnią torbę ze śmieciami. Poza nią w domu była tylko Mildred.

Rick nie pojawił się, choć go wyglądała. Kolejny dowód, że może liczyć tylko na siebie.

- Chodźmy, Mildred. Odwiozę cię do domu.

- Lindo, dziękuję ci. To był jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu.

- Bardzo się z tego cieszę. - Naprawdę się cieszyła. Życie jeszcze się dla niej nie skończyło, jeszcze wiele mogła zrobić, dać radość innym. Może zostanie zakonnica? Uśmiechnęła się na tę myśl i ten uśmiech dał jej nadzieję.

Odwozła Mildred, ale nie chciała wracać do siebie. Ciągnęło ją do domu O'Brianów.

Stanąła na progu, włączyła światło i weszła do środka. Każdy pokój, każdy mebel i każdy detal był jej tu drogi.

Zatrzymała się w głównej łazience, dotknęła dłonią wanny. Łzy napłynęły jej do oczu. Czemu płacze? Nad domem, który nigdy nie był jej? Dowiedziała się o podłości męża i nie uroniła ani jednej łzy, a teraz płacze? Zachowuje się niemądrze. Nie można się tak przywiązywać do domu, wyobrażać sobie, że mieszka w tych wnętrzach, kąpie się w tej wannie, piecze w kuchni ciasteczka.

Choć może to nie jest takie niemądre. Bo domy człowieka nie ranią.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi, a potem mocnych, zdecydowanych kroków. Wiedział, gdzie ją znaleźć. Nie odwróciła się, gdy wszedł do łazienki.

Ta chwila należała do nich, wiedziała to. Bo Rick też był częścią tego domu, tak jak ona, częścią tej cudownej przemiany, której tu doświadczyła.

- Lindo - odezwał się - dom został sprzedany.

A jeszcze przed chwilą sądziła, że dom nie może człowieka zranić. Nie cieszyła się, że znalazł się kupiec. Bo to znaczy, że nie będzie mogła tu przyjść, gdy odczuje taką potrzebę, nie będzie czerpać siły z tych solidnych murów.

Starła się mówić pogodnym tonem, lecz słabo jej to wyszło.

- Wiedziałam, że tak może się stać.

- Dziś przeszłaś samą siebie. Naprawdę wyszło super. Wcale się tak nie czuła.

- Lindo, muszę ci coś powiedzieć.



Gdy odwróciła się, zobaczyła, że Rick wygląda mizernie, choć kogucik na czubku głowy sterczał jeszcze bardziej zuchwale.

Przycisnęła rękę do piersi.

- Ja go kupiłem. Od agencji.

- Co takiego?

- Ze względu na psa. Potrzebuje ogrodu. Moi sąsiedzi są coraz bardziej niezadowoleni.

Wlepiała w niego wzrok. Już sama nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Rick kupił ten dom? Dla swojego psa? Kto inny wpadłby na taki zwariowany, cudowny pomysł?

Nie powiedziała tego. Odwróciła się.

- Nazwiesz wreszcie tego biedaka?

- Wciąż czekam na chwilę olśnienia. Próbowałem już tylu imion, ale żadne do niego nie trafia. W tym tygodniu wołałem na niego Alfie, Mickey i Bartholomew.

- No tak. To nie dla niego.

Podszedł bliżej, popatrzył jej w oczy. Przesunął dłonią po jej policzku, a ona wtuliła twarz w jego dłoń, zamknęła oczy i wreszcie poczuła się bezpieczna, doceniona i gotowa zawierzyć.

Cofnęła się, bo te uczucia obnażały ją, wystawiały na ciosy.

- Jakoś mi trudno uwierzyć - cicho powiedział Rick - że naprawdę kupiłem dom z powodu psa. - Gdy milczała, mówił dalej: - Kupiłem go dlatego, że po raz pierwszy od bardzo dawna chcę wierzyć w przyszłość. W naszą przyszłość.

- Rick... - powiedziała ze smutkiem. Jeszcze kilka dni temu naciskała na niego. Chciała wiedzieć, na czym stoi. Teraz odpowiedź widziała w jego oczach.

- Wiem, jakim szokiem była dla ciebie wiadomość o dziecku Blaira, ale wiedz, że ja poczekam, aż będziesz gotowa.

Łzy dławili ją w gardle, lecz nie pozwoliła im popłynąć. Nie chciała płakać. Nie chciała być krucha i bezradna. Ale jeśli pragnie być przez niego kochana, to nie ma innego wyjścia.

- Nic nie mów - rzekł cicho. - Zdaj się na mnie. Proszę. Przez całe życie czekała na takie słowa. Na kogoś, na kim będzie mogła polegać, przy kim będzie się czuła bezpieczna, kto wyrwie ją z samotności, lecz teraz, gdy ktoś taki się znalazł, nie wiedziała, co zrobić.

- Nie śpieszmy się, Lindo. Idźmy powoli, swoim rytmem.

- Od czego zaczniemy?

- Od przeprowadzki. Przyda mi się ktoś, kto pomoże mi upiec ciasteczka, bym poczuł się tutaj jak w domu.

Kiedy szła do ołtarza, by złożyć przysięgę, niemal nie знаła Blaira. Przysięgała, że będzie z nim, póki ich śmierć nie rozłączy.

Tym razem nie będzie się śpieszyła.

Podawała Rickowi rękę, a on ucałował ją czule.

Następny tydzień minął jak z bicza strzelił. Wyszukali kolejny dom dla agencji, Linda uczyła się jeździć na motorze, zabierali psa na

spacery po okolicznych parkach a wieczorami umawiali się na kolację.

Rozluźniła się. Rick był idealnym facetem. Czuły, solidny, lojalny, żarliwy, zabawny, odpowiedzialny. Jednak coś ją powstrzymywało.

Tydzień przed Świętem Dziękczynienia dał jej pierścionek.

Patrzyła na śliczne pudełeczko i prosty, elegancki brylant.

Zupełnie nie w stylu Blaira. Nic na pokaz.

Radowała się, że pokochał ją taki mężczyzna. Każdy jego gest świadczył o uczuciu. Zostawiał jej liściki w samochodzie, nagrywał się na sekretarkę. Przysyłał kwiaty, wciąż o niej myślał.

Popatrzyła na Ricka, potem na pierścionek.

Zacisnął jej palce na pierścionku, uśmiechnął się.

- Nic nie mów - powiedział miękko. - Zastanów się.

Obiecała, że to zrobi. I nagle wróciły do niej te słowa i uderzyły ją prosto w serce. „Lindo, ty nie chciałaś o niczym wiedzieć”. Oddała pierścionek.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Uporczywy dźwięk telefonu coraz wyraźniej przebijał się do jego świadomości. Rick otworzył oczy, spojrzał na stojący na szafce nocnej zegar. Czerwone cyferki jarzyły się w ciemności. Czwarta rano.

Telefon o takiej porze nigdy nie zwiastuje niczego dobrego.

Podniósł słuchawkę, szykując się w duchu na najgorsze. Miał nadzieję, że może to pomyłka, że ktoś wybrał zły numer.

- Halo?

- Wujek Rick?

Resztki snu rozwiały się ostatecznie. Rick usiadł na łóżku, po omacku sięgnął do lampki, jakby przy jej świetle łatwiej mu było się skoncentrować.

- Bobbi?

- Przepraszam, że cię obudziłam. Chciałam pogadać z tobą, nim pojedę na zajęcia.

- Chyba już tak sobie gawędziliśmy? - zapytał sennie, nie całkiem rozbudzony. Przesunął wzrokiem po pokoju. Jeszcze nie zdążył przyzwyczać się do nowego otoczenia.

Nie przeniósł się do głównej sypialni. Postanowił z tym poczekać, aż będzie mieć przy boku kobietę, o której marzył. Miał nadzieję, że jego marzenia się spełnią.

- Mama powiedziała mi kilka dni temu. O dziecku taty. Od tamtej pory nie mogę spać.

- Przykro mi.

- Wujku, bardzo długo się nad tym zastanawiałam. Chciałabym ją poznać. To moja siostra.

Tylko ludziom poniżej dwudziestki może się wydawać, że kilka dni zastanawiania się nad czymś to mnóstwo czasu.

Te nocne telefony wywracały jego życie do góry nogami, uporządkowany świat drżał w podstawach. Choć cóż takiego miał z tego ułożonego życia? Paszport z pieczętkami z odległych krajów, które zwiedzał samotnie. Zrezygnuje z tego bez żalu, woli życie pełne niespodzianek.

- Rozmawiałaś o tym z mamą? - zagadnął ostrożnie. -  
Powiedziała, że ty będziesz wiedział, jak postąpić.

Zadumał się. Czyli Linda daje mu wolną rękę, ufa mu w kwestii tak delikatnej i istotnej.

- Okay. Przyjeżdżasz podobno na Święto Dziękczynienia, prawda?

- Tak! To już w przyszłym tygodniu!

- Zorientuję się, co się da zrobić.

- Wujku?

- Mhm?

- Co jest z moją mamą?

- Dlaczego pytasz? - zapytał ostrożnie.

- Jeszcze niedawno, kiedy z nią rozmawiałam, była zupełnie odmieniona. Szczęśliwa jak nigdy dotąd. To było po tej waszej

wyprawie motocyklowej. Gdybyś ją wtedy słyszał! Była ożywiona i radosna jak zakochana szesnastolatka!

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie roześmianą Lindę. Tamten cudowny dzień i jemu pozostał w pamięci. Cieszył się, że mógł jej go dać. I miał nadzieję, że podobne jeszcze są przed nimi.

Też zauważył zmianę w sposobie bycia Lindy. Ożywienie zniknęło, stała się wyciszona i zdystansowana. Miał nieodparte wrażenie, że jest nieobecna duchem. Jakby odgrodziła się od świata szklaną ścianą, zza której obserwowała życie, sama pozostając niedosiężna.

Wiedział, jak wiele ryzykuje, wyjawiając ostatnią tajemnicę Blaira. Mówią, że prawda jest zawsze lepsza od kłamstwa, jednak nie był tego taki pewien. Może niektóre rany są zbyt głębokie, może nigdy się nie zagoją?

Miał nadzieję, że z Lindą tak nie będzie. Chciałby przywrócić jej radość, dać szczęście. Zrobił dla niej trochę: wyciągnął ją z domu, podsunął pracę, w której się spełniała, zaraził miłością do motoru. Jednak to nic w porównaniu z tym, co ona mu dała - zaczął żyć na nowo, odrodził się. Do tej pory wszystko widział w czarno-białych barwach, lecz ona tchnęła kolory w jego świat.

- Teraz mama już taka nie jest - mówiła Bobbi. - I choć jej entuzjizm był dla mnie zaskoczeniem, bardzo bym chciała, by znowu była taka radosna.

- Ja też - cicho rzekł Rick i dopiero po chwili uzmysłowił sobie, co znaczyła cisza, jaka zapadła w słuchawce. Powiedział za wiele.

- Zakochałeś się w niej? - wyszeptała Bobbi.

Ta nocna rozmowa stawała się coraz bardziej osobista, prowokowała do zwierzeń, na które nigdy by sobie nie pozwolił w świetle dnia. Jednak Bobbi wychowała się w rodzinie, w której półprawdy i zakłamanie były na porządku dziennym. I żaden fałsz się przed nią nie ukryje. Wystarczy, że zobaczy go z Lindą, a wszystko stanie się jasne.

- Tak - powiedział. - Zakochałem się w twojej mamie.

Znowu zapadła długa cisza, a potem coś jakby szloch.

- Zajefajnie...

To chyba znaczyło, że jest zadowolona. Nie mylił się, bo dodała:

- Wujku, strasznie się cieszę! Jestem taka szczęśliwa! Dlaczego kobiety muszą płakać ze szczęścia?

- Bobbi?

- Hm?

- Następnym razem, gdy będziesz dzwonić, pamiętaj o różnicy czasu.

Zachichotała wesoło.

- Dobrze, wujku.

Odłożył słuchawkę. Pies zakradł się w nocy do łóżka i teraz łychnął okiem, by sprawdzić, czy jego obecność została zauważona. Pisnął cichutko i z uwielbieniem polizał rękę Ricka. Ułożył się wygodnie i zasnął. Rósł w oczach. Przestał być małym szczeniakiem, wysmukłał, łapy mu się wydłużyły, a kręcone czarne kudełki nabrały połysku i twardości.

Nadal nie miał imienia, choć Rick wciąż eksperymentował. Ostatnio wołał na niego Zack, Blackie, Zamboni. W zeszłym tygodniu dostał od Lindy słownik imion, lecz i tam niczego nie znalazł.

- Zaczynaj od A - zasugerowała. - Może on sam pozna, że to imię dla niego.

Dziwnie to brzmiało, lecz nie dyskutował. Skoro Linda miewała prorocze sny, to może lepiej jej posłuchać.

Wypróbował kilka imion. Aaron, Abdullah. Abner, Abraham... niestety, psiaaka żadne z nich szczególnie nie zainteresowało.

Wstał z łóżka, a pies skorzystał z okazji i wyciągnął się wygodnie. Rick poszedł do gabinetu, usiadł przy biurku. Polubił ten pokój. Okna wychodziły na ogród, ściany wyłożono boazerią i utrzymano w odcieniu ciemnego brązu. Męski gabinet. Jakby Linda urzędowała go z myślą o nim.

Lubił poprzednie mieszkanie, lecz ten dom od razu go oczarował. Jakby czekał na niego. Tu był u siebie. Mildred też chyba to wyczuła, bo zmieniła swój stosunek do Ricka.

Wpadała prawie codziennie, oczywiście nie na długo. Zwykle coś mu przynosiła: zapiekankę, świeżo upieczone muffinki, a wczoraj fotografię w ramce, pamiątkę ogrodowego przyjęcia z 1930 roku. Najbardziej lubił, gdy dotykała dłonią jego policzka, jakby był jej synem. Gdy otwierał jej drzwi, oczy Mildred rozjaśniały się. Coraz bardziej przywiązywał się do tego domu, zwłaszcza że na każdym kroku widział ślady Lindy. Przypominał mu ją papier, którym



wyłożyła półki w spizarni, wybrane przez nią przełączniki światła, stonowane kolory wnętrza.

W zeszłym tygodniu podarowała mu jasnożółte poduszki na kanapę, zdjęcie psa do postawienia w gabinecie i słonecznik w doniczce na kuchenny parapet. Nie było tu Lindy, jednak jej obecność była wyczuwalna na każdym kroku.

Podjął decyzję. Pora wyłożyć karty na stół. Napisał list i pojechał do domu, który remontowała Linda.

Jej samochód stał na podjeździe, obok ciężarówka Jasona wyładowana gruzem i połamanymi deskami. Na trawniku poniewierały się stare szafki.

Linda, z twarzą osłoniętą maską, wyszła na zewnątrz, niosąc jakieś rupiecie do wyrzucenia. Pracy oddawała się bez reszty. Świetnie to rozumiał, bo był taki sam. Zatracał się w robocie, by nie myśleć o osobistych problemach.

- Cześć - powiedział. Ściągnęła z twarzy maskę.

- Cześć. - W jej głosie nie było dawnego ożywienia. Wydawała się bardzo daleka, jak wtedy, gdy żył jej mąż.

Chciała pozostać niedotykalna, lecz widział, ile cierpienia kryło się pod tą pozorną obojętnością.

- Doszedłem do imion na C. Jej oczy lekko się rozjaśniły.

- I co?

Ten blady uśmiech był lepszy niż nic.

- Strzyże uszami, gdy wołam na niego Cletus.

- Nie nazwiesz go Cletus.

- Przejmujesz się, jak nazwę mojego psa?

- Wcale nie. Nazwij go sobie, jak chcesz.

Wiedział, że tylko tak mówiła. Obchodziło ją, jak nazwie psiaka, bo chciała mieć w tym swój udział, taką przynajmniej żywił nadzieję. Może nie była jej obca myśl, że jeszcze przez długie lata będzie dzielić dom z tym stworzeniem.

- No to będzie Cletus - droczył się.

Szturchnęła go w bok, tak jak się spodziewał.

- Dam ci tuzin czekoladowych ciasteczek, jeśli go tak nie nazwiesz.

- Aha, czyli jednak cię to obchodzi - powiedział, zniżając głos, a w jej oczach przemknęło coś nowego. Obchodziło ją coś więcej niż imię dla psa. Chciała być z nim. - Dwa tuziny - podbił stawkę.

- Zgoda.

- Przyjechałem, żeby zaprosić cię na Święto Dziękczynienia. To dobra okazja na chrzest bojowy nowego domu. Zapach pieczonego indyka i aromat czekoladowych ciasteczek...

- Och! - W jej oczach błysnął żal. - Bardzo chętnie bym przyszła, ale przyjedzie Bobbi i już zaprosiłam Jasona... żeby ją poznał. - Zarumieniła się. - Bobbi pewnie mi tego nie daruje.

Deklaruje, że nie wierzy w miłość i otacza się murem, a z drugiej strony gorąco chce wierzyć w cud, który może się zdarzyć.

- Ona już przyjęła moje zaproszenie.

- Wykradasz mi córkę na świąteczną kolację?

- Jason też może przyjść.

- Hm, przyznam, że ten pomysł bardzo mi się podoba. Twój dom jest stworzony do rodzinnych uroczystości. - W jej oczach znów mignęła tęsknota, lecz szybko się opamiętała. - Choć między Bogiem a prawdą nie bardzo cię widzę, jak pieczesz indyka.

- No wiesz! Nie pokazałem ci, jak świetnie mi idzie pieczenie ciastek?

- To było gotowe ciasto w plastikowym opakowaniu. Miał przed oczami tamtą chwilę, czekoladowe okruszki na ustach Lindy... Chciałby przygarnąć ją do siebie, zburzyć dzielący ich mur. Jednak musiał zdobyć się na cierpliwość.

- Indyki też kupuje się zapakowane w plastik. Już to sprawdziłem. - Klepnęła go w ramię, a on przez mgnienie pozwolił sobie na cieszenie się tą żartobliwą reakcją. - Mildred obiecała upiec indyka - wyznał wreszcie.

- Mildred? - zdumiała się.

- Jest nierozłącznym dodatkiem do domu. Chętnie się przekonam, czy umie zrobić coś więcej poza zapiekankami, pysznymi zresztą.

- Przyjdę do ciebie z przyjemnością.

- Jest jeszcze jedna rzecz, o której powinnaś wiedzieć - zaczął lekkim tonem, choć ostrożnie dobierał słowa. - Zaprosiłem też Tracy i Angelinę.

Linda znieruchomiała. Nie czekał, aż odzyska głos.

- Bobbi chce je poznać. Nadarza się doskonała sposobność, w świątecznej atmosferze powinno przyjść to łatwiej. Dla Tracy to

trudny czas. Miała tylko siostrę. Teraz z Angeliną zostały zupełnie same.

Celowo odwoływał się do jej współczucia. Linda powoli skinęła głową.

- Dobrze, Rick.

Przez mgnienie, nim jeszcze nie odwróciła wzroku, w jej oczach dostrzegł ufność. Miał nadzieję, że jej nie zawiedzie.

Linda popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Bardzo się przyłożyła, wybierając strój na dzisiejsze przyjęcie.

Po południu była u fryzjera. Zrobiła nowe pasemka, włosy miała starannie uczesane. Strój też był kupiony specjalnie: jasnobrązowy kaszmirowy sweter, ciemnobrązowe spodnie, perłowy naszyjnik i kolczyki. Wyglądała jak dawna Linda - elegancka i zdystansowana.

- Doskonale - mruknęła. Nie chciała, by siostra tej kobiety zorientowała się, jak przeżywa fakt, że przy świątecznym stole zasiada z dzieckiem swego męża.

Jeszcze raz popatrzyła w lustro.

„Lindo, ty nie chciałaś o niczym wiedzieć”.

Te słowa, wypowiedziane przez Ricka, były jej tarczą. To dzięki nim miała siłę się przed nim bronić, one podtrzymywały jej gniew. Ale te słowa były prawdziwe.

Popatrzyła na siebie w lustrze. Wyniosła kobieta, która cofa się przed wszystkim, co mogłoby zaburzyć jej spokojne, uporządkowane

życie, starannie zbudowaną iluzję. Im bardziej z zewnątrz jej życie wydawało się perfekcyjne, tym bardziej rozpadało się w środku.

Nie chciała dłużej być tą kobietą. Za dużo ją to kosztowało. Wyssało z niej wszystkie soki i obróciło w zimny kamień.

Odeszła od lustra, zdjęła sweter, spodnie i biżuterię. Włożyła obcisłe niebieskie džinsy, na które namówiła ją córka, golf w paski i zabawną apaszkę.

Bobbi rozpromieniła się na jej widok.

- Mamo, jak ty młodo wyglądasz!

Zaskoczyła ją przemiana, jaka dokonała się w Bobbi. Przez tych kilka tygodni na uniwersytecie wydorosła i już nie była jej małą dziewczynką. Pewnie niepotrzebnie zaprosiła Jasona.

Jej obawy się nie potwierdziły. Jason powitał Bobbi szczerym uśmiechem, jakby znali się kopę lat.

- Mówię do Lindy „mamuśka”, więc ty jesteś moją siostrą - rzekł, obejmując ją po bratersku.

Poznała Bobbi z krzątającą się po kuchni zaaferowaną Mildred. Starsza pani była w siódmym niebie, pokrzykując na Ricka i zrzedząc na indyka. Kazała zamknąć na werandzie płaczącego się pod nogami psa, a Rick nie zaoponował, za to puścił do Lindy oko.

Zaparło jej dech. Teraz, kiedy przyznała przed sobą, że Rick miał rację, mur, którym się otoczyła, zaczął się chwiać.

Przyglądała się, jak Rick wyprowadza psa, a potem przekomarza się z Bobbi i unika ciosów Mildred. Podkradał jej rzeczy szykowane na kolację, a ona biła go po palcach drewnianą łyżką.

Naraz ujrzała go w zupełnie innym świetle. Miał odwagę powiedzieć jej bolesną prawdę, a takich ludzi ze świecą szukać. Jest uczciwy i szczery. Już nie miała do niego pretensji, że zwlekał z prawdą o Blairze, ani nie czuła urazy, że to od niego usłyszała o ostatniej podłości zmarłego męża. I nie była zła na niego, że przejrzał ją, choć sama przed sobą ukrywała prawdę.

I teraz, kiedy mu wybaczyła, ujrzała go na nowo.

Czyżby to dlatego tak się opierała? Bo wcześniej nie mogła zdobyć się na przebaczenie?

Rick jest wspaniałym facetem. Cudownym mężczyzną. Nie mogła oderwać od niego oczu, jakby patrzyła na niego po raz pierwszy. Podobnie jak ona był ubrany swobodnie, w sztruksy, koszulę i sweter. Wyglądał fantastycznie. Na czubku głowy sterczał mu zabawny kogucik.

- Ten dom jest czadowy, mamó! - zachwycała się Bobbi. - Musisz mi go zaraz pokazać!

Ucieszyła się, że choć na chwilę odetchnie lżej, bo przy Ricku wciąż miała świadomość jego obecności. Oprowadziła córkę po rezydencji. I tak jak ona ujrzała w Bobbi młodą kobietę, tak samo córka spojrzała na mamę innymi oczami.

- Mamó, nie miałam pojęcia, że taka jesteś.

Nikt nie miał pojęcia. Łącznie ze mną, podsumowała w duchu.

Bobbi zatrzymała się przy podwójnych drzwiach do łazienki.

- Niesamowite - wyszeptała. Popatrzyła na matkę. - To też twoje dzieło?

Zmieszała się lekko. Miała świadomość, że to pomieszczenie mówiło wiele o osobie, która je zaprojektowała. Może niekoniecznie to, co matka z chęcią wyznaje córce.

- Chyba nie znałam cię do końca.

Linda zarumieniała się gwałtownie, Bobbi zaniósła się śmiechem i objęła ją serdecznie.

- Jesteś niesamowita! Ten dom to cudowna bajka! Zazdroszczę wujkowi, że tutaj mieszka.

Cóż, w porównaniu z tą rezydencją niewielki pokój gościnny w jej domu wypadał blado. W dodatku miał zaciek na suficie.

Na dole Rick przyrządził koktajle żurawinowe, Jason zabawnie, choć bez specjalnych ceregieli, droczył się z Bobbi. Traktował ją jak młodszą siostrę.

I wtedy nastąpiła chwila, której tak obawiała się Linda. Zadzwoił dzwonek u drzwi.

- To one - wyszeptała Bobbi.

Linda zerknęła na Ricka. Poruszył bezgłośnie ustami. „Trzymaj się”? Czy „Kocham cię”? Nie wiedziała, lecz poczuła się pewniej. Wyprostowała się i wyszła z kuchni, Bobbi podbiegła do drzwi i otworzyła je na oścież.

Przez chwilę Linda żałowała, że zrezygnowała z poprzedniego stroju, lecz szybko zmieniła zdanie. Na progu stało dziecko, które trzymało za rączkę drugie dziecko. Tracy może miała dwadzieścia lat, lecz wyglądała na znacznie mniej. Nie można było odmówić jej urody, jednak nie była taką uwodzicielską piękną jak jej siostra,

której zdjęcie Linda widziała w gazecie. Tracy nadrabiała miną, lecz była wystraszona i spięta. Trzymała za rączkę dziewczynkę, aniołka o złotych loczkach i błękitnych oczach. Malutka, która pewnie jeszcze nie skończyła dwóch latek, była wystrojona na przyjęcie. Miała śliczną koronkową sukieneczkę, dobrane rajstopki i czarne lakierki.

- Och! - wykrztusiła Bobbi. Objęła Tracy, jakby ją znała od zawsze. - Tak się cieszę, że się poznałyśmy. - Przyklękła i otworzyła ramiona. - Cześć, siostrzyczko - powiedziała miękko.

Dziecko bez wahania padło jej w ramiona. Może poznała siostrę po niebieskich oczach, a może serce jej to podpowiedziało?

- Och! - cicho rzekł Jason. - A to kto?

Linda spojrzała na niego. Jason wpatrywał się w Tracy jak ktoś rażony gromem, kto nagle ujrzał coś, czego w życiu by się nie spodziewał. Jakby zobaczył Świętego Mikołaja wychodzącego z kominka. Poruszając się jak w transie, wyszedł z kuchni i podszedł do frontowych drzwi. Ujął dłoń Tracy. Linda niemal czekała, że zaraz się przed nią skłoni i pocałuje w rękę.

- Jestem Jason - przedstawił się, odrobinę za długo przytrzymując jej dłoń.

Tracy nie odrywała od niego oczu.

- Ho, ho - mruknął Rick. Stał za Lindą. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Podprowadził ją do Tracy. Obawiała się tego spotkania, lecz poszło nieźle, a nawet całkiem dobrze. Dłoń Tracy była zimna jak lód, biedaczka strasznie się denerwowała. Potem jeszcze raz obeszlą dom,



tylko tym razem rolę przewodnika pełnił Jason, pływając się w zachwyconym spojrzeniu Tracy, która podziwiała efekty jego pracy.

Mildred zawołała na kolację. Zasiedli za stołem w jadalni, Rick pokroił indyka. Rozmowa toczyła się gładko, wszyscy byli weseli. Angelina zapomniała o nieśmiałości i zabawnie paplała do Bobbi. Z werandy za domem dobiegał cichy skowyt psa. Mildred wspominała dawne dzieje, a onieśmielona Tracy, zafascynowana Jasonem, ledwie mogła coś przełknąć.

Tak się najedli, że postanowili poczekać z deserem. Jason przypomniał sobie, że ma w samochodzie piłkę.

- Wypuścimy już biednego psiaka, niech się z nami pobawi.

Hałaśliwie wytoczyli się na dwór. Linda znalazła się przy drzwiach sam na sam z Tracy. To nie był przypadek.

- Przepraszam - cicho powiedziała Tracy. - Strasznie mi przykro z powodu mojej siostry i pani męża.

Zaimponowała Lindzie odwagą. Tracy była w trudnej sytuacji, a jednak stawiała jej czoło, nie stchórzyła. Choć niewiele starsza od Bobbi, zdecydowała się przygarnąć osierocone dziecko.

Linda dotknęła jej ramienia.

- Dziękuję.

Taki drobny gest, kilka sekund, kilka słów... a jej serce otworzyło się szerzej.

Wyszły na zewnątrz. Jesienne liście chrzęściły pod nogami, promienie słońca przeświecały przez nagie gałęzie. Jason posadził sobie Angelinę na ramiona i wybrał do swego zespołu Lindę. Grali

przeciwko Rickowi, Bobbi i Tracy. Psiak jak szalony gonił za piłką wraz z nimi i wkrótce stracili rozeznanie, kto wygrywa, kto przegrywa, czy może jest remis. Zdyszani i roześmiani biegali po trawie. W końcu Rick wyciągnął rękę do Lindy. Odeszli, zostawiając młodsze towarzystwo na dworze. Mildred spała na kanapie w salonie.

- Posprzątam kuchnię? - zasugerowała Linda.

- Później.

Trzymając się za ręce, usiedli na bujanych fotelach na werandzie. Przyglądali się, jak zmęczeni gracze kończą grę. Bobbi i Angelina usiadły na stercie liści. Paplały wesoło.

Tracy huśtała się na oponie powieszanej przez Ricka.

- Kiedy zdążysz to zrobić? - zapytała Linda.

- Mildred mi kazała.

- Hm, zadziwiasz mnie.

- Pogadaj z Mildred. To ona wszystkim dyryguje.

Popatrzyła na Bobbi bawiącą się z Angeliną, na Jasona wpatzonego w Tracy. Z salonu dobiegło chrapanie. Roześmieli się.

Czas stanął w miejscu.

Patrząc na ogród i trzymając dłoń w dłoni Ricka, miała wrażenie, że świat zasnuwa złociste światło. Nie tak dawno była pewna, że jej życie się skończyło, że już nic z niego nie będzie. Z niej nic nie będzie. Jednak teraz, siedząc na werandzie obok Ricka, ciesząc się tą chwilą, czuła, że kiełkuje w niej nadzieja.

Czyż nie o takim życiu kiedyś marzyła? Świąteczne obiady w rodzinnym gronie, wesołe piski dzieci, razem młodzi i starzy, życie

biegnące swym odwiecznym rytmem. Miłość, radość i nadzieja łączące pokolenia, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość splecione razem pod dachem tego pięknego domu, mądrość wynikająca z doświadczenia i pełen marzeń optymizm młodości.

Angelina wybiegła zza stosu liści, śmiejąc się perliście.

Lindzie łzy napłynęły do oczu, gdy Bobbi chwyciła małą - dziecko Blaira, swoją siostrzyczkę - i podrzuciła ją wysoko, okręcając się z nią radośnie. Zawsze marzyła o rodzeństwie dla Bobbi, o chwilach takich jak ta.

I stał się cud - bez jej starań i planów życie przyniosło jej to, czego tak pragnęła. Niewierność męża, która mogła ją zdruzgotać, dała początek jej nowemu życiu.

Życiu z Rickiem. Popatrzyła na tego szlachetnego mężczyznę, podeszła do niego i usiadła mu na kolanach. Zwilżyła językiem palce i przyglądała mu włosy.

Ten drobny gest był osobisty i zaborczy, zaskakująco intymny i jak najbardziej właściwy. Łzy, które czuła pod powiekami, popłynęły jej po policzkach. Mur, którym się otoczyła, rozpadł się w pył i ożywcze wody popłynęły wartko. Nie mogła przestać płakać.

Rick milczał. Tulił ją do siebie i czekał.

Zawsze tak czekał. Jakby od dawna wiedział, nawet gdy ona tego nie przeczuwała, kim Linda naprawdę jest.

Znalazła brakującą część układanki. Już wiedziała, co uczynić, by stać się godna Ricka. Patrząc na dwójkę wspaniałych dzieci, które

przyszły na świat dzięki jej mężowi, zrobiła coś, co wydawało się jej niemożliwe. Wybaczyła Blairowi.

I wybaczyła sobie.

Kto wie, może wszystkie cierpienia i upokorzenia, które musiała znosić, wszystkie rozterki i wątpliwości prowadziły właśnie do tego dnia. Do chwili, gdy wreszcie zdoła otworzyć serce przed innym człowiekiem. Przed Rickiem.

Pocałowała go, jak o tym od dawna marzyła. Aż do utraty tchu, poczucia, że jej spragniona dusza znalazła nasycenie, że złamane serce odrodziło się na nowo. Przerwała, słysząc skowyt psiaka.

- Głupi kundel - powiedziała z czułością.

- Już wiem, jak go nazwę - cicho rzekł Rick.

- Wiesz?

- Feniks.

Piesek zamerdał ogonem.

- Feniks - wyszeptała, czując na kolanach łapy wspinającego się między nią a Ricka zwierzaka. Polizał ją po mokrej od łez twarzy.

- Feniks - powtórzył Rick. - Jak Feniks odradzający się z popiołów i z każdą chwilą mocniejszy. Symbol nadziei.

- Feniks - dobiegł ich zrzędlawy głos. - Co to za imię dla psa. - Piesek, jakby już poznając swe imię, w podskokach pobiegł do stojącej na progu Mildred. - Jeśli już skończyliście z tymi buziakami - cierpko mruknęła Mildred, ukradkiem poklepując Feniksa - to możemy zabierać się do deseru. - Uśmiechnęła się szeroko.

Mildred też się zmieniła, z zadumą spostrzegła Linda. Stała się bardziej rozluźniona, złagodniała. Potrzebowała tego, co wszyscy - miejsca, w którym będzie się czuła u siebie.

Dawniej to była rodzina, ale teraz to pojęcie zyskało szerszy wymiar. Jest rodzina bliższa i dalsza, byli mężowie i były żony, przyrodnie i przybrane rodzeństwo, ludzie samotni i ludzie, którzy są sobie bliscy, choć nie łączą ich więzy krwi.

Kilka godzin później wszyscy się rozjechali, w domu zostali tylko Linda i Rick. Jason zabrał Tracy i Angelinę, Bobbi zaofiarowała się zawieźć Mildred samochodem mamy, a potem przenocować u starego kumpla.

- Mam nadzieję, że to nie ten perkusista grający na bębenkach bongo - westchnęła Linda, nieco onieśmielona ciszą panującą w wielkim domu. I świadomością, że nie ma samochodu.

- Wiesz, bywają gorsi.

- Na przykład?

- Złodzieje koni. Właściciele palarni opium. Mordercy, porywacze dzieci.

Klepnęła go w ramię. Rick przytrzymał jej rękę, nim zdążyła ją cofnąć, pocałował.

- Jeszcze nie wypróbowałem tej wanny - wyszeptał.

- Nie? - Uświadomiła sobie, że sama też szepcze.

- Nie.

- Czy to zaproszenie? - Nagle wyobraziła sobie ich razem w tej wannie wypełnionej pianą.

- W pewnym sensie.

Jeśli będzie dalej tak marudził, to chyba zaraz znowu go walnie.

- W pewnym sensie?

- Chcę dzielić z tobą tę wannę i łóżko. Ten dom. Mojego psa.

Mildred. - Umilkł, po chwili dodał cicho: - Moje życie.

- Hm... Sporo tego... To może zaczniemy od wanny? -

Zabrzmiało to bardzo wyuzdanie.

Rick roześmiał się.

- Bezwstydna latawica.

Przez całe życie uciekała przed tą etykietką, lecz teraz to określenie odbiło się od niej, nie czyniąc jej szkody, bo czułość w głosie Ricka zmieniała wszystko, cały zawarty w nim sens. Wcale jej nie potępiał, a jeśli naprawdę taka była, to chciał w niej to odkryć.

Sama chciała w sobie to odkryć! Tym bardziej poczuła się zawiedziona, gdy rzekł:

- Ale nie powinniśmy zaczynać od wanny.

Objął ją mocno. Przepęłniało ją tyle uczuć. Miłość, akceptacja, wybaczenie, poczucie siły... Czowała się kochana i piękna. Czowała się uzdrowiona. Jeszcze nigdy nie doznawała takiego uniesienia.

Przypomniała sobie tamten wrześnieowy poranek, kiedy leżała na trawie i obserwowała wyjątkowego ptaka wzbijającego się w niebo. To było tak niedawno. To było całe życie temu.

Czowała wtedy, że to dla niej znak, że powinna podążyć jego śladem, rozwinąć skrzydła, zmienić swoje życie. Żądać więcej od

siebie, żyć odważnie, śmiało przyjąć wszystko, co przyniesie jej los.  
Być wolna.

Wtedy myślała, że to tylko niedościgłe marzenia.

Teraz widziała to zupełnie inaczej.

Już nie musiała gonić za marzeniami. Bo one już się spełniły.

RS